MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 34 WARSZAWA, 16 SIERPNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIECH SIĘ WRÓG NAWET NIE OŚMIELA...

KOMUNIZM atakuje. Rozniecił w Hiszpanji wojnę domową, anarchizuje Francję, próbuje swych w Grecji, a w Polsce...

Komunistyczny „Nowy Przegląd" w artykule J. Bruna konstatuje, że wpływy narodowe są najważniejszą przeszkodą w opanowaniu mas ludowych.

Komitet Centralny Komunistycznej Partji Polski komunikuje:

„K. C. stwierdza, że mimo wskazań II Plenum organizacje partyjne nie doceniły w praktyce wzrastające niebezpieczeństwo endecji nietylko na terenie drobnomieszczańskim, ale i robotniczym. Znaczny wzrost wpływów wśród klasy robotniczej w Łodzi wskazuje na konieczność walki o każdego robotnika, opanowanego przez demagogię endecką".

Punkt 5-ty komunikatu:

„Szczególną uwagę musimy zwrócić na Górny Śląsk, gdzie ogień walki — zgodnie ze specjalną rezolucją K. C. — trzeba skierować przeciw szowinizmowi polskiemu".

Coprawda w grudniu właśnie ub. r. Stronnictwo Narodowe na Śląsku zostało rozwiązane...

Zastanówmy się jednak przedewszystkiem, o co w tej całej walce w gruncie rzeczy chodzi? Oto wyjątek uchwały II-go plenum K. C. K. P. P.:

„Trzeba postawić walkę z antysemityzmem jako wielkie polityczne zagadnienie obecnego okresu i poprowadzić planową, zaciekłą, nieustępliwą walkę przeciw nacjonalizmowi i antysemityzmowi o internacjonalizm proletarjacki".

Chyba jasne zupełnie. Uchwała jest wykonywana skrupulatnie. Przed dwoma miesiącami ŻAT otrzymała następujący komunikat („ŻAT" otrzymała, a ŻAT to jest poprostu Żydowska Agencja Telegraficzna):

Komitet organizacyjny robotniczego kongresu dla walki z antysemityzmem wyznaczył termin kongresu na dzień 13 czerwca. Kongres odbędzie się w Warszawie, Kampanja przedwyborcza do kongresu już się rozpoczęła. Już w najbliższą sobotę odbędą się w Łodzi, Warszawie. Lublinie, Mławie i szeregu innych miast wiece masowe poświęcone robotniczemu kongresowi dla walki z antysemityzmem.

Zapowiadane wiece masowe nie udały się, a to z tego względu, że fali antysemickiej nie da się przeciwstawić żadnej tamy. Dzisiaj w Łodzi dochodzi do niemałego rozmiarem konfliktu między władzami partji socjalistycznej a partyjnemi „dołami". Doły stanowczo przeciwstawiają się jakiejkolwiek współpracy z żydami. Zdrowe instynkty narodowe biorą górę.

*

Dnia 15-go sierpnia obchodzić będziemy rocznicę zwysięstwa nad Wisłą, rozgromienia najazdu bolszewickiego. Uroczystości noszące dotychczas charakter wspominków bohaterskich walk i poległych na polu chwały, urosły w tym roku do oficjalnie uznanego święta żołnierza, oraz wielkich manifestacyj narodowych pod hasłem, iż w Polsce żaden kościół nie zostanie spalony i żaden sztandar zerwany z masztu. Jednem słowem dnia 15-go sierpnia, podobnie jak szesnaście lat temu, cały Naród pokaże swą czynną postawę wobec komuny i jej czteromiljonowych sprzymierzeńców — żydostwa.

Znajdujemy się w sytuacji bardzo poważnej. Imperjalizm angielski, przestraszony wzrostem sił

narodowych państw Italji faszystowskiej i hitlerowskich Niemiec, państw, które mają ambicję być istotnemi podmiotami polityki, nie zawahał się ściągnąć komunizmu spowrotem do Europy. Imperjalizm żydowski, przestraszony o los diaspory i jej zachłannych metod, pragnie za wszelką cenę zniszczenia powstałych ustrojów nacjonalistycznych. Imperjalizm rosyjski, zajęty od lat kilku wyłącznie sprawami Dalekiego Wschodu, przekonany usilnemi zaproszeniami, ponownie wkroczył do Europy. Są ludzie, którzy wolą służyć każdemu: angielskiemu, żydowskiemu czy rosyjskiemu imperjalizmowi, byle tylko nie temu, któremu winni — polskiemu. Na szczęście ludzi tego gatunku o rdzennie polskiem pochodzeniu niema wiele. Naród polski zbyt dobrze rozumie treść telegramu wysłanego przez żydów do Hiszpanji: „Wasza sprawa jest naszą sprawą".

Ci, którzy pamiętają czasy Wielkiej Wojny 1914 — 1918, zauważyli różnicę lat tych z rokiem 1920-tym, kiedy to wojna miała wyraźnie charakter inny. Naród cały brał roku tego udział w zapasach. Entuzjazm ówczesny pozostawił nam przeżycia niezwykłe, przeżycia, co na zawsze pozostaną w pamięci.

Dzisiaj, gdy komunizm przechodzi do ataku, poczyna nas na myśl o walce przebiegać ponowny dreszcz entuzjazmu. Szesnaście lat temu nieprzyjaciel dochodził już pod przedmieścia stolicy, a jednak 15-go sierpnia został pobity a 18-go sierpnia, jak głosiły komunikaty, rozpoczął się pościg.

Dzisiaj przypominamy przebieg tamtych dni. Niechaj się wróg nawet nie ośmiela...

B.

WIELKA RUMUNJA

III. W CZTERY OCZY

(Dokończenie)

NAD WIECZOREM, gdy łagodnieje upał, gęsty tłum zalega ulice Bukaresztu. Ludzie spacerują, omijając uprzejmie istne zatory zajętych rozmową lub stoliki, ustawione na chodnikach przed zakładami i sklepami gastronomicznemi. Rumuni żyją bowiem poza domem, żyją na ulicy. Gdy my się chowamy dyskretnie z tem, co pijemy i jemy, gdy chętnie wytwarzamy wokół siebie pewną atmosferę odosobnienia—oni wszystko mają na pokaz, bo i chwała Bogu, jeżeli jest co pokazywać. Pokazuje się więc przedewszystkiem ubranie. Stąd widzi się mnóstwo ludzi ubranych z przesadną elegancją, w sposób krzykliwy, aż do nieprzyzwoitości, jak na nasze wyobrażenia. Ubarwionym, jak papugi kobietom towarzyszą naogół bardzo zgrabni i krzycząco eleganccy mężczyźni, nierzadko podmalowani, z misternie podgolonemi brwiami — wygorsetowani wreszcie.

Sądząc z „intensywności" ubrania należałoby się po tych ludziach spodziewać piekielnych temperamentów. I tu, przyznam, spotkał mię zawód. Naprawdę my, Polacy, mamy znacznie bardziej „południowe" temperamenty—od tych południowców. Mało tu słychać głośnych rozmów, nie widzi się gwałtownych gestów. Przez cały czas pobytu w Rumunji nie widziałem — dosłownie—ani jednej awantury, nie słyszałem ani jednej kłótni. Polak naprawdę tu markotnieje. Rumuni, zgromadzeni w większej ilości, gwarzą sobie półgłosom, robiąc wrażenie ludzi onieśmielonych. W bardziej poufnej rozmowie stają się wylewni w gestach, czują się w obowiązku objąć współrozmówcę, przyjaźnie poklepać.

Owa hałaśliwa przesada w ubraniu, uliczny sposób życia, tkwią przyczynowo w zasadniczym rysie charakteru Rumuna; nazwijmy go kompleksem reprezentatywności. Rumun robi wszystko na pokaz. Cały ten kraj jest jedną wielką reprezentacją. Rumun bez niej nie może żyć, ubiera się więc na pokaz, buduje reprezentacyjne gmachy, lubuje się w pomnikach. Bukareszt dosłownie przygnębia orgją pomników. W każdej alejce parku „Cismegiu", będącym chlubą Bukaresztu, czyha na postumencie ktoś znakomity, niemal w każdem swobodniejszem miejscu tego ciasnego miasta wznosi się jakiś pomnik, odznaczający się niezmiernem bogactwem konstrukcji i patetyzmem.

Przepych łączy się w pojęciu Rumuna nierozerwalnie z reprezentacją. Reprezentatywny i monumentalny — to jedno. Monumentalność rumuńska nie ma jednak owego potężnego rozmachu, pewnej niedbałości w operowaniu ogromem, którą myśmy przywykli zwać monumentalnością. Znajduje to wyraz w architekturze rumuńskiej, która nawet w nowoczesnych budowach unika wielkich płaszczyzn, lubując się w mnóstwie arkad i ornamentacyj, skomplikowanych brył i linij. Dążenie do przepychu bije w oczy wszędzie. Już nie tylko w budownictwie, nietylko w stroju oficera, ale mundur każdego funkcjonarjusza aż wre od przeróżnych barw, otoków, akselbantów, buljonów i t. p. materjalnych oznak świetności.

Nikomu jednak nie radziłbym zaglądać w opłotki tych przepyszności. Rumuni są bowiem zadziwiająco niesolidni. Trawi ich iście południowa i wschodnia zarazem niecierpliwość, pali potrzeba natychmiastowych efektów. Kompleks reprezentatywności każe zapomnieć o fundamentach. Skutkiem tego mało jest w Rumunji dzieł porządnie ugruntowanych — naprawdę fundamentalnych. Zewsząd zbliska tchnie tandetą.

Co więcej, Rumunja jest krajem ubogim, którego nie stać na to, czego Rumuni potrzebują. Wobec tego zaniedbuje się rzeczy codzienne na korzyść reprezentacji. Bukareszt np. jest miastem co się zowie pięknem. Bez wahania przyznaję, że nie możemy poszczycić się niczem podobnem. Ale Bukareszt jest w Rumunji unikatem, bo na utrzymanie tego miasta wszystkie gminy płacą 10% z ich budżetu. Ten dystans między tem, co służy codziennemu użytkowi a reprezentacją wszędzie niemile razi. Przyjrzyjmy się choćby środkom ko-

munikacji. Taksówkami Bukareszt może imponować całej Europie. Bo też służą one wielkiemu, reprezentatywnemu światu. Od Placu Zwycięstwa *Szossea Chiselau*, będącą czemś w rodzaju Alei Ujazdowskich, przebiega elegancki autobus. Jest to linja *la Baneasa* — do kąpielisk bukareszteńskich. Ale przez tenże plac Zwycięstwa przechodzi inny autobus, strasznie odrapany stary Ford, nieopisanie brudny wewnątrz, obsługiwany przez niewiarogodnych kocmołuchów po cywilnemu. Linja ta obsługuje „zwykłą“, handlową dzielnicę. Wystarczy dalej wyjść poza obręb śródmieścia, żeby zobaczyć rzeczy bynajmniej nie budujące. Nad brzegami przepływającej przez miasto rzeczki Dambovitzy potrafią leżeć miesiącami niesprzątane śmiecie, służące za wylęgarnię kolosalnym ilościom szczurów.

Prowincja rumuńska nic nie ma wspólnego z monumentalizmem Bukaresztu. Wszystko tu jest raczej skromne i małe, z niewątpliwą tendencją do estetyki i schludności. Wieś rumuńska odznacza się naogół miłą schludnością. Bielone domki z podcieniami stoją pośród czysto wymiecionych podwórek. Ale też owa schludna chałupka jest najczęściej jedynym budynkiem w zagrodzie, bo trudno nazwać budynkiem to, co ma służyć wszystkim potrzebom gospodarskim. Wieś rumuńska po swojemu na małą skalę zaspokaja jej potrzebę zbytku i reprezentacji. Pozatem panuje w niej wszechwładnie nędza. Oczywiście dużo tu zawinił kryzys, ale znacznie więcej chłop rumuński winien sam sobie. Wieś rumuńska stanowi poważną siłę polityczną, o jej względy zabiegają wszystkie ugrupowania polityczne — wobec tego znajduje się ona na stanowisku uprzywilejowanem. W porównaniu z Polską jest znacznie mniej obciążona podatkami. Rząd wcześniej, niż u nas, przystąpił do bardzo zdecydowanej akcji oddłużeniowej. Coprawda ceny na produkty rolnicze są w Rumunji niższe, niż u nas, ale i koszty produkcji są bez porównania mniejsze. Ważną przyczyną ciężkiej sytuacji wsi rumuńskiej jest lenistwo rumuńskiego chłopa. Przeważnie dobre ziemie chłopi uprawiają w sposób horrendalny. Nie mówię już o nędznych plonach, ale częstokroć wegetują na jednym zagonie, pomieszane i zwyrodniałe najróżnorodniejsze gatunki uprawianych roślin. Pracowity żywot wiodą tu jedynie kobiety, stąd właśnie chaty i obejścia się czysto utrzymane, sztuka ludowa, stworzona niemal wyłącznie pracą kobiet, może poszczycić się pracowitemi i pięknemi wynikami. Wieś rumuńska niemal całkowicie uchyla się od uczęszczania do szkół powszechnych, w przekonaniu że prostemu człowiekowi są one zupełnie zbędne. Skutkiem tego kształcą się w nich tylko ci, którzy mają zamiar iść przynajmniej do szkół średnich i na karjerę urzędniczą. W takich stosunkach z jednej strony jest chłop,— pomimo abstynencji szkolnej (bo przymus szkolny w Rumunji jest, na nasz wzór, papierowy) całkiem sprytny i niepozbawiony inteligencji — po drugiej stoi warstwa inteligencko-urzędnicza. Brak natomiast zupełny ludzi ze średniem wykształceniem zawodowem, czy wprost dobrych fachowców — praktyków. Rumun jest niewykwalifikowanym robotnikiem. Wszystko, co wyżej — to nie Rumuni: Niemcy, Polacy, Węgrzy, Rosjanie i t.d. i t.d. Co gorzej stan taki nie ulega zmianie.

Owa potrzeba zbytku i reprezentacji przy ogólnem ubóstwie, w połączeniu z brakiem solidności i lenistwem, wytwarza największą bolączkę Rumunji — brak uczciwości. Legła ona nieznośnem piętnem na stosunkach gospodarczych, niemile ciąży na życiu społecznem — ale najbardziej przerażające triumfy święci w administracji.

Korrupcja istnieje i u nas, czyniąc niestety stałe postępy, ale to, co się dzieje u nas, jest dziecinną igraszką w porównaniu ze stosunkami, panującemi w administracji rumuńskiej. Sa to rzeczy koszmarne. Łapownictwo w Rumunji jest zjawiskiem nagminnem. Z jego pomocą można obejść przepisy o reformie rolnej, przepisy policyjne, obowiązek powszechnej służby wojskowej, krótko mówiąc, wszystko; trzeba tylko wiedzieć, ile dać. Te rzeczy zresztą nikogo nie gorszą. Tylko drobną ich częścią zajmują się sądy i prokuratura, których również nie ominęła ta zaraza. Łapownictwo poszczególnych dygnitarzy jest tajemnicą poliszynela i nie budzi większego oburzenia.

Z pewną tolerancją są znoszone inne dowody pomysłowości. Znam np. przystanek kolejowy, na którym kasjer przed przyjściem pociągu specjalnie późno zaczyna urzędowanie, aby w pośpiechu nie wydawać reszty. Praktyki te są powszechnie znane, a reaguje się na nie uśmieszkiem.

Prawdziwą klęskę stanowi pospolite złodziejstwo. Wielkie afery, szczególnie o podłożu politycznem, rzeczowo zreferowane przez prasę, dostają się przed kratki sądowe przy wydatnym współdziale aktualnej opozycji. Sprawy „pospolite“ przechodzą bez konsekwencyj, tembardziej że współdziała w nich „związek celowy“ ludzi, których trudno ruszyć lub ruszyć wprost nie opłaca się wobec rozległości ich stosunków. Złodziejstwa te przybierają formy rażąco bezczelne i półjawne. Znam np. następujący wypadek: na stoku pewnej góry, którą biegnie ważny trakt, wody ściekowe żłobią głęboki jar, wdzierający się w drogę i grożący jej całkowitem przerwaniem. Postanowiono temu zaradzić przez zadrzewienie dna i stoku jaru. Na zasadzenie potrzebnych do tego celu kilkuset drzew asygnowano 50 tys. lej t. j. w przybliżeniu 2500 zł. Rzeczywiście w połowie lutego przystąpiono do pracy i zasadzono kilkanaście drzewek, z których przyjęły się dokładnie cztery. Odpowiednie władze otrzymały raport o wykonaniu polecenia i zużyciu wszystkich funduszów, niestety skutkiem złych warunków atmosferycznych większość zasadzonych drzewek nie przyjęła się. Sprawa ta nie pociągnęła żadnych konsekwencyj. Takie drobnostki, jak fałszowanie list płac, dokonywanie fałszywych wpisów w księgach katastralnych za cenę 500 lej (25 zł.) są niczem wobec takich n. p. tranzakcyj dwu senatorów, którzy po wniesieniu do parlamentu projektu ustawy o obdzieleniu inwalidów wojennych, oraz wdów i sierot po żołnierzach, ziemią, pewni powodzenia ich inicjatywy, postarali się natychmiast o skup za bezcen roszczeń uprawnionych.

Nikt, ma się rozumieć, nie zwraca uwagi na szeroko rozwielmożniony zwyczaj pobierania napiwków przez niższych urządników. „Bakczysz“ nie jest łapówką, jest on wprost datkiem dla zyskania sobie przychylności urzędnika, działającego skądinąd w ramach legalności. Klijent, który nie poprze swojej sprawy niedużym bakczyszem. jest narażony na przewlekanie tygodniami sprawy, którą można załatwić odręcznie.

Demoralizacja biurokracji rumuńskiej sięgnęła tak daleko, że wszelkie wysiłki ludzi uczciwych

i widzących zło są zupełnie bezskuteczne. Ludzie uczciwi długo w tem towarzystwie miejsca zagrzać nie mogą, napotykając na solidarny opór współkolegów. Zresztą społeczeństwo rumuńskie jest również zdemoralizowane. O zasięgu nieczciwości może dać wyobrażenie demoralizacja stanu adwokackiego. Jest n. p. rzeczą pospolicie znaną, że nie można zbyt ufać swemu akwokatowi, ponieważ nie jest wykluczone, że opłacony przez przeciwnika, pokieruje sprawą niekorzystnie dla swego mocodawcy.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak są zabagnione stosunki w życiu politycznem. U steru rządów są w tej chwili liberałowie (*Partidul Natzional Liberal*), których najlepiej charakteryzuje sojusz z reprezentacją rumuńskiego żydostwa. Jest to związek tak ścisły, że żydostwo w Rumunji zrezygnowało z odrębnej organizacji politycznej. Żydzi zresztą stanowią w Rumunji potęgę, która wydatnie przyczynia się do wzmocnienia stanowiska Partji Liberalnej. Dobrze rozwinięta, nader poczytna prasa rumuńska znajduje się niestety pod rozpaczliwą hegemonją żydów. Mam wrażenie, że bodaj jedynym czysto rumuńskim dziennikiem jest narodowa „*Tzara Noasiea*“ (Nasze Państwo). Potężnym współzawodnikiem liberałów jest stronnictwo chłopskie — *Partidul Tzanist*, prowadzące ożywioną akcję na wsi. Obyczaje polityczne w Rumunji ułożyły się na wzór amerykański. Życie polityczne jest oparte na zasadzie *business*'u: człowiek, mający ambicje polityczne wkłada w popieranie siebie i swoich pewien kapitał. Wkład ten ma być wrócony po zwycięstwie, wobec czego ze zmianą rządzącej partji dość dokładnym zmianom ulega cała administracja samorządowa i szereg stanowisk w administracji państwowej. W tych warunkach metoda korrupcji święci niebywałe triumfy. Zagrożona w posadach partja rządząca, o ile ma poparcie wyższej administracji, chwyta się decydującego środka: robienia wyborów.

W ostrej opozycji do obecnego stanu rzeczy znajduje się narodowy „*Partidul Natzional Cresztin*” (Narodowa Partja Chrześcijańska) pod wodzą prof. Cuzy. „Cuziści“ gromadzą elementy najbardziej agresywne, bodaj że najbardziej bezkompromisowe ideowo. Rozwiązanie Gwardji Żelaznej (*Gardea de Fer*), organizacji podobnej do O. W. P., nie na wiele się chyba przydało. W literaturze, odzwierciedlającej nastroje nieoficjalnego kraju, a kwitnącej na murach i płotach, stanowczą przewagę ma swastyka, czasem samotna, częściej z napisem: *sus Cuza, jos Jidani*! (niech żyje Cuza, precz z żydami)!

Pomimo robienia wyborów Rumuni zachowują pewne formy praworządności. W sierpniu ub. r. odbył się w Kiszyniowie wielki zjazd Cuzistów. Stojący u rządu liberałowie nie odmówili organizatorom specjalnych pociągów, które prawo przewiduje w takich wypadkach. Takie rzeczy wyglądają nam na nieprawdopodobne.

Ogólny stan administracji rumuńskiej bardzo jaskrawo odbija się na stanie armji, czyniąc jej wartość bojową raczej problematyczną. Nowoczesna armja jest droga. Przy braku środków pieniężnych dobre zaopatrzenie techniczne armji jest niemożliwe. Przy złej gospodarce i nadużyciach, które nie ominęły wojska rumuńskiego — jego stan we wszystkich dziedzinach jest rozpaczliwy. Żołnierz jest ubrany okropnie. Naprawdę trudno znaleźć żołnierza, którego mundur nie byłby wystrzępiony, miał wszystkie guziki, był jako tako dopasowany. Nie dość tego, i te nędzne mundury są zabierane żołnierzom, jadącym na urlop, którzy dostają się do domów w czem kto może. Wyżywienie jest bez przesady głodowe. W Rumunji jest dużo ładnych chłopców, cóż kiedy tracą oni w wojsku zdrowy i ładny wygląd. Darmo tam szukać dziarskości żołnierza polskiego, swoistego „fasonu” żołnierskiego. I nie widać w tłumie rumuńskim tej pełnej szacunku sympatji, jaka towarzyszy naszemu żołnierzowi. Rumuni kochają armję, ale nie kochają żołnierza. Być może, że przypisać to należy brakowi ducha żołnierskiego w narodzie. Wiele należy złożyć na karb zrażenia szerokich mas rumuńskich do tego wojska, którego używa się do wszelkich czynności policyjnych. Nie bez znaczenia jest fakt, że Rumun nie może przywiązać się do tego, co nie jest ani wspaniałe, ani reprezentacyjne, a wspaniałym i reprezentacyjnym, aż do przesady, jest tylko oficer; o żołnierzu naprawdę lepiej nie mówić. Zawsze miałem współczucie dla rumuńskich żołnierzy, wiem bowiem, że stanowią oni niezły element wojskowy. Nie wiem jaka jest wartość bojowa tych ludzi, nie żywię raczej złudzeń. Wiem jednak, że Rumun jest jeden w drugiego szczerym i gorącym patrjotą, jest ogromnie karny, ma małe potrzeby gdzie nie gra roli reprezentacja, jest wreszcie przeciętnie wytrzymały. Winę złego wyżywienie żołnierza (myślę, że ubrania i ekwipunku też) ponosi administracja wojskowa. Chaos w tej dziedzinie pogłębia brak urzędu intendentury. Sprawy te powierza się albo najmłodszym oficerom, dla których niema jeszcze innego przydziału, albo ludziom wybrakowanym, dla których już niema przydziału. W tych warunkach nieuczciwość idzie w zawody z ignorancją. Zaopatrzenie armji rumuńskiej w sprzęt wojenny jest niewystarczające, administracja tem co jest, również wiele pozostawia do życzenia. W połowie sierpnia ub. r. np., wybuchnęła w Bukareszcie wielka bomba polityczna, która o mało nie spowodowała przesilenia gabinetowego. Komisja, wyznaczona dla stwierdzenia przyczyny nader częstych katastrof w lotnictwie wojskowem — orzekła, że przyczyną był brak obsługi lotniczej, dzięki czemu maszyny nie były badane przed lotami. Wyćwiczenie żołnierza pozostawia też wiele do życzenia. Znam ludzi, którzy będąc w formacjach, odpowiadających naszym podchorążówkom, w ciągu służby strzelali tylko po osiem razy ostremi ładunkami, nie rzucali granatami i nie znają karabinu maszynowego.

Z prawdziwą przykrością pisałem o niedomaganiach rumuńskich. Rumuni bowiem pozyskali moją szczerą sympatję. Może dlatego, że jako Polak spotykałem się z objawami wzruszającej i niekłamanej sympatji do polskości, połączonemi z pewnym dla nas szacunkiem. Myślę, że może sprawiła to prostota i szczerość Rumunów. Rumun nie bawi się w finezję, nie ma naszym wzorem zwątpień. Jest on ujmująco, dziecinnie niemal, prosty i szczery zarówno w dobrem i złem. Patrjotyzm rumuński jest bardzo gorący, naiwnie zaślepiony, ale bez nietolerancji. Rumun widzi u siebie częstokroć to, czego nie było i niema, bo jego patrjotyzm pragnie, by tak było. Nie widzi skomplikowanej kwestji mniejszościowej i jest najświęciej przekonany, że w Rumunji mniejszości powinny ustąpić Rumunom, dlatego prowadzi politykę, która w istocie bywa bezwzględna, i szczyci się równo-

cześnie rumuńskim liberalizmem, nie żywi bowiem wrogich uczuć wobec tych mniejszości. Rumuni są naogół wysokiego zdania o sobie, co w połączeniu z właściwą im i ich językowi przesadą wygląda na megalomanję. Nic podobnego — jest tu miejsce na szacunek dla wszystkich i nieśmiałe pragnienie, by można było żyć ze wszystkimi w przyjaźni. Nie słyszałem nigdy pod czyimkolwiek adresem epitetów w rodzaju „pludrów", „mochów", „pepiczków" i t. p. Rumuni są zasadniczo dobrymi ludźmi. Niema w nich ani krzty okrucieństwa, niema nienawiści... Historja, prawda, oszczędziła Rumunom naszego losu. Być może że w naszych warunkach ten naród nie oparłby się zagładzie. Jestem pewien, że ludzie tego typu nie tworzą dziejów i świat nie do nich należy, ale można do nich żywić szczerą sympatję. Dlatego chciałbym gorąco, by czytający te wrażenia Rumun, jeśli się to zdarzy, żywił pewność, że nie płyną one z niechęci, jeno są wyrazem serdecznej troski o naród, który naprawdę polubiłem.

JĘDRZEJ DAMIĘCKI

POCHWAŁA ŚREDNIOWIECZA

SĄ W HISTORJI ludzkości pewne epoki, na które nauczono nas patrzeć stale pod pewnym kątem, w których kazano nam cenić jedno a potępiać zawsze drugie i być posłusznym wyrokom tradycji. Lecz historja nie jest nauką martwą, choć mówi o ludziach, którzy już żyć przestali; przeciwnie, jest nauką żywą i pełną niespodzianek, bo dopiero po wiekach, z wysokości piramid myśli ludzkiej, spostrzegamy żywe oblicze lat ubiegłych, dopiero jako dziedzice wypadków przeszłych możemy sięgnąć do ich jądra, odnaleźć prawdziwe, żywe sprężyny ruchu, wejść w ukryte intencje.

Będę miał zawsze żal do moich nauczycieli za to, że starali się nam stale, na każdym kroku obrzydzić średniowiecze. Z ich słów wynikało, że była to epoka ciemna, mroczna, dzika, epoka, którą cechował upadek cywilizacji, która była krokiem w tył na drodze postępu ludzkości. Moment kulminacyjny średniowiecza—wyprawy krzyżowe—oceniono jako szaleńczy czyn, kompromitujący tylko Europę i jej swary w oczach Wschodu, a których jedynym zyskiem było nawiązanie handlowych i kulturalnych stosunków z bliskim i dalekim Wschodem i te stosunki — zdaniem moich preceptorów — dźwignęły w górę podupadłą cywilizację europejską, pozwoliły wzejść na mrocznym horyzoncie średniowiecza słońcu renesansu. Byliśmy dziećmi wojny, żyliśmy w różowych oparach nierealnych marzeń o postępie technicznym, który miał odmienić człowieka, przybliżyć chwilę powszechnego braterstwa i powszechnej szczęśliwości. Lecz w głębi serc odczuwaliśmy podziw i żywiliśmy kult dla białego pióropusza średniowiecza. Ta epoka pociągała nas zawsze swoją wielkością.

Gest rycerski i pogardę dla wszelkiej małości — jakże świetnie te rzeczy czułem, choć nie rozumiałem jeszcze co za niemi stoi! Zwolna otwierały się nam oczy. I wtedy przeżyłem największą może w swojem życiu rewelację: przeczytałem „Napoleona z Notting Hill". Przeczytałem i wyczułem jedno, że bohater książki, rudowłosy Adam Wayne, nietylko nie jest postacią śmieszną lecz przeciwnie staje się symbolem czegoś, do czego tęskniłem podświadomie.

Postęp, do którego przyczyniły się wojny krzyżowe—zacząłem rozumieć inaczej. Książka o wojnach krzyżowych gdy dochodziła do opisu niezliczonych karawan, które dzięki zwycięstwom krzyżowców mogły się kierować ku krajom europejskim—zaczynała mnie nudzić. Raziła mnie. Czułem jakiś fałsz w tem wszystkiem.

Dziś, gdy spoglądam ku dziejom wojen krzyżowych, wiem co mnie w nich pociąga. Były one przejawem siły i potęgi cywilizacji średniowiecza i, niech sobie tłumaczy kto chce, że ich twórcy świadomie rzucali falę ludzi na wschód by uniknąć klęski przeludnienia, które jakoby miało wówczas grozić Europie — nigdy w to nie uwierzę. Były objawem tego, co dziś zwykliśmy nazywać imperializmem: imperializmem idei chrześcijańskiej.

Chrześcijaństwo jest bez żadnej wątpliwości pewną ideą społeczną. Ponieważ nie jest to próba jakiegoś mechanicznego zorganizowania społeczeństwa, a realizacja idei zależy od zgody wszystkich ludzi—trud wcielenia jej w życie jest znacznie większy. Żaden przymus większości nie wystarczy gdzie potrzeba przekształcić cały światopogląd człowieka. Z drugiej strony idea odpowiada znakomicie ludzkim potrzebom, jako rzucona na świat przez Tego, który sam będąc Stworzycielem natury ludzkiej, wiedział doskonale czego jej potrzeba. Tkwiąc niejako pośrodku innych idej społecznych, wskazuje tem samem na swoją prawdziwość. Uniwersalistyczna w najwyższym stopniu, od chwili gdy przestała należeć do narodu wybranego, stanowi ochronę narodowych odrębności—jako naturalnych instynktów ludzkich—lecz tylko dopóty, dopóki odrębności te utrzymują się w ramach prawa moralnego. Stawiając cel zbiorowy na pierwszem miejscu jest jednocześnie doktryną skrajnie indywidualistyczną, wymagając od każdej jednostki poczucia odpowiedzialności za całość.

Dla nas, wierzących, jest jednocześnie testamentem ziemskim Boga-Człowieka, doskonała jako pochodząca od Doskonałości i choć być może nigdy w całości nie będzie wcielona w życie — bo nigdzie nie jest napisane, że zwycięstwo zostanie osiągnięte tu na ziemi—o wcielenie której jednak jesteśmy obowiązani walczyć aż do końca. O tę walkę właśnie idzie. Przywykliśmy o niej mówić, lecz gdy przechodzi do czynu, zwykle zamiast walczyć by wcielać, walczymy—broniąc się. Jesteśmy w nieustannej defensywie wówczas, gdy sama strategja walki domaga się przejścia do ofensywy, odpowiedzenia na atak kontratakiem.

Wszelki imperializm jest wtargnięciem w obcy stan posiadania, podbojem. Można potępiać imperializm materialistyczny, przemoc fizyczną, podbój obcych ziem celem zmuszenia mieszkańców do

uległości, lecz gdy imperializm jest przemocą ducha, podbojem dusz, wówczas musimy z nim walczyć lub stanąć w jego szeregach. I jak nie ma potęgi ziemskiej, któraby chcąc zachować swą siłę nie uciekała się mniej lub więcej do imperializmu, tak samo nie ma wielkiej idei, dla której jej wyznawcy nie chcieliby porwać wszystkich ludzi. W ideję trzeba ślepo wierzyć a wówczas wierzy się też w jej zwycięstwo. Lecz zwycięstwa nie dokonywają się same i stąd logiczny wniosek: gdy człowiek wierzy w ideję, wówczas walczy o wcielenie jej w życie.

„Nie zabija się idei"—powiedział kiedyś Clémenceau. Lecz ideje giną same właśnie dlatego, że przestano o nie walczyć. O zwycięstwo idei trzeba walczyć lub przestać w nią wierzyć i dać by zginęła. Tylko defetyzm zdolny jest je uśmiercić.

Wojny krzyżowe były walką, były czynnem wystąpieniem chrześcijaństwa, były imperializmem chrześcijańskim. Zwycięstwa osiągane miały charakter zwycięstw dokonywających się dzięki ślepej wierze. Ludzie mogli być tacy lub inni—mogli być nawet nędznemi kreaturami, takimi, jakimi odmalowała ich Kossak Szczucka—lecz zwyciężała ich wiara w ideję, którą reprezentowali i szczere intencje wcielania jej w życie.

Jest faktem historycznym, że w rezultacie ostatecznym wojny krzyżowe nie przyniosły upragnionego zwycięstwa. Tak—to prawda. Lecz przegrana nie była klęską w boju ani śmiercią idei. Dokonała się wcześniej, zanim fakty ją potwierdziły, dokonała się wówczas gdy osłabła siła imperializmu chrześcijańskiego.

W średniowieczu ideja chrześcijaństwa nie była martwą formułką lecz zawierała się w każdym, nawet najdrobniejszym przejawie życia. Nie można było odedrzeć życia kulturalnego czy ekonomicznego, publicznego czy prywatnego od przepajającej go idei. I to był sens i to była siła średniowiecza. Cywilizacja średniowiecza rozwijała się zwolna, krok za krokiem, lecz była budynkiem solidnym, w którego fundamentach nie brakło żadnej cegły. Była jak owe dzieła mistrzów średniowiecznych, w których zręczność, solidność i artyzm szły z sobą o lepsze w zawody. Do dziś gdy pogrzebiemy w ruinach późniejszych konstrukcyj, odnajdziemy, jako jedynie trwałe, fundamenty cywilizacji średniowiecznej.

Średniowiecze okazało swoją siłę zdobywając się na najpiękniejszy gest w dziejach świata — na wojny krzyżowe. Siła krucjat tkwiła w ich bezinteresowności, w ich pełnej mistyki wierze w świętość sprawy. Lecz gdy za zwycięstwami krzyżowców rozpoczął się ruch handlowy statków genueńskich czy weneckich, gdy obok celów świętych znalazło się także miejsce na cele doczesne, siła krucjat zaczęła maleć i znikać, a tem szybciej i szybciej przenikały do Europy wpływy Wschodu. Rozwój handlu, ruch ludności, wzrost potrzeb a co za tem idzie obrotów, rosnące pożądanie stało się cechą okresu późnego średniowiecza.

Tu znajdziemy źródło nagłego zainteresowania się pogrzebaną cywilizacją rzymską, bo oblicze społeczeństwa, coraz bardziej nabierające materjalistycznych rysów, upodobniało się coraz więcej do oblicza zmaterjalizowanego świata rzymskiego. Zdawać się mogło, że do krwi średniowiecznego świata dostały się jakieś bakterie, wzmagające tempo życia, wprowadzające obce fermenty.

Brak mi tu miejsca na bliższą analizę zjawisk, które łączyły się, chcąc nie chcąc, z wzmożonym ruchem żydów w Europie. Jest faktem, że życie gospodarcze w tym czasie poczęło się w znacznej mierze uzależniać od żydów, którzy wyzyskując powszechny wzrost pożądań rozpoczęli szerszą działalność, wnosząc do handlu pierwiastek zysku dla zysku. Lecz nie tylko życie gospodarcze. Żydzi—opieram się tu na zdaniu Sombarta, dawnem zdaniu z czasów gdy nie był jeszcze hitlerowcem—poczęli narzucać światu swoją charakterystyczną psychikę skrajnych racjonalistów, wrogów wszelkiej mistyki. Będąc zdecydowanymi intelektualistami i pozytywistami, stali się pionierami ruchu, dążącego do zastąpienia wszelkiej metafizyki ujęciami rozumowemi, bezpośrednich stosunków—prawnemi umowami. Bezwzględni w najwyższym stopnia, gdy chodzi o zapewnienie sobie największych korzyści, byli pierwszymi, którzy poczęli wmawiać w społeczeństwo chrześcijańskie wymóg tolerancji.

Ah, ta tolerancja! Ileż się nasłuchałem zdań pełnych zachwytu o Polsce, która zawsze przodowała wśród narodów pozwalających sobie ciosać kołki na głowie i jeszcze się potem tem chwaliła! Twierdzono nawet, że właśnie nasz katolicyzm zawdzięczamy tolerancji, a nikomu do głowy nie przyszło, iż katolicyzm prawdziwy, nietylko z imienia, zdołała zachować polska wieś właśnie dzięki swojej nietolerancji. Za tolerancją religijną idzie obojętność religijna, za tolerancją wobec obcych etyk—obojętność na etykę wogóle. Tolerancja zepchnęła katolicyzm do okopów, w których się tylko bronił zamiast atakować, narzuciła mu bierną postawę wyczekującą, postawę z której dopiero dziś chcemy go wytrącić. Pozbawiła go dynamiki.

Tolerancję propagowano, ośmieszając Kościół gdy starał się bronić. Wszak do dziś powtarzają ludzie z ironicznym uśmieszkiem: „święta inkwizycja", a przeciętny katolik uśmiecha się również, pełen zażenowania, i stara się wytłumaczyć Inkwizycję—ciemnotą wieków. Dlaczego tłumaczyć? Iluż rzeczy byłoby się uniknęło gdyby Inkwizycja była doprowadzona do końca i zniszczyła w zarodku wszelkie zło? Lecz Inkwizycja była zbyt późnem lekarstwem: przychodziła w chwili gdy racjonalizm odrodzenia a wraz z nim humanitaryzm, operujący hasłem tolerancji, wciskały się ze wszystkich stron.

Wchodzimy w nową epokę walki o zwycięstwo idei chrześcijańskiej. Idea chrześcijańska nie umiera i umrzeć nie może. Po wiekach, gdy zdawało się, że została zwyciężona, nagle nabiera nowych sił i z nowym rumieńcem życia, z nową potęgą rusza do walki. Porywa ludzi, robi ich swymi niewolnikami — czy chcą czy nie chcą, jak ongiś rybaków galilejskich — każe wierzyć w zwycięstwo Ducha. Ten wiew, który się zrywa w momencie, gdy kryzys zracjonalizowania i obojętności religijnej sięgnął do dna, pozwala nam jaśniej spojrzeć w przyszłość. Walka, która nas czeka, walka ducha będzie walką ciężką, lecz wolno nam i musimy wierzyć w zwycięstwo. Także musimy

i to koniecznie zdać sobie sprawę z konieczności walki. Zwycięstwa same się nie dokonywają, zwycięstwa osiąga się w walce. Katolicyzm musi raz wyjść z okopów bierności, w których go uwięziła tolerancja i kompromisowość, musi uwierzyć naprawdę w to co głosi i musi chcieć narzucić swoją wiarę innym. Nie jesteśmy zamkniętą, ekskluzywną sektą—jesteśmy religią jedynie prawdziwą; to musimy czuć i mieć ambicję walki o tę prawdę.

Walcząc o prymat kultury polskiej musimy równocześnie pamiętać, że kultura polska jest kulturą katolicką. Rozdzielanie tych dwu rzeczy jest niemożliwe, bo doprowadziłoby do rozdźwięku, do fałszu i do załamania. Imperializm ducha ten, o który walczy młode pokolenie, ten, w którym centralną rolę może zająć Polska, jest imperializmem katolicyzmu i chrześcijańskiej myśli społecznej.

JAN DOBRACZYŃSKI

CHIMERYCZNE SCHERZANDO

(Ciąg dalszy)

PANÓW jest bardzo mało, zawsze tak będzie i nigdy nie może być inaczej i nigdy nie może być panów dużo. Ilość panów wcale nie może powiększyć się od tego, czy naprzykład w lepszym czy w gorszym stanie jest w jakimś narodzie kultura, czy oświata, czy moralność, czy dobrobyt, czy cokolwiekbądź jeszcze. Tak samo i t. zw. postęp (pojęcie zresztą bardzo ciemne) też nie jest zdolny powiększyć ilość panów. Ludzie też nie stają się panami przez to, że się ich panami tytułuje i że pisze się pan, jak to jest przyjęte dzisiaj, do każdego w adresie na kopercie listowej.

Bo pańskość to cecha wyjątkowa i uzyskuje się niejako przez wyróżnienie wyjątkowe jakiegoś człowieka z jego otoczenia. Jakiekolwiek byłoby otoczonie, zawsze wyróżniający się będą nieliczni. Pańskość, można zdefinjować, jest to potrzeba wewnętrzna w człowieku działania na innych i podporządkowywania ich sobie i swoim ideałom. I oto potrzeba ta zjawia się w człowieku wówczas gdy czuje, że działanie innych jest złe i niedostateczne. A przyjąwszy to, nietrudno widzieć, że potrzeba ta zjawia się u ludzi wyjątkowych i wyróżniających się pod względem swoich wymagań jakie stawiają otoczeniu.

Związany z tem jest znany powszechnie fakt, że troszczenie się o sprawy publiczne zawsze zwala się na nieliczne jednostki i że bardzo mało jest ludzi co myślą samodzielnie, a olbrzymia większość bytuje bez myślenia i bez reformowania świata. Zresztą właśnie ta większość stanowi objekt dla reform. Wprawdzie rozmyślając teoretycznie można dojść do przekonania, że wyjątkowe okoliczności, czyli brak kompletny panów mogą zmusić każdego, żeby stał się panem. Tak więc jeśli dla przykładu weźmiemy obraz tonącego okrętu, na którym pozostał jeden tylko podróżny, co zachował pełnię władz umysłowych, gdy tymczasem inni ulegli jakiemuś zatruciu, albo jakiejś osobliwej epidemji powodującej zaćmienie świadomości, to łatwo zrozumieć, że w takich okolicznościach podróżny ten, chociażby był najbardziej bierny i pokorny, odrazu zmieniłby się i poczułby potrzebę działania na innych i zacząłby rządzić nimi celem ratowania siebie i wszystkich. Z drugiej strony, kto wie, może i nie jest wykluczone, że nawet najbardziej samowolna jednostka pozbywa się swej pańskości i skłonności do przewodzenia ludziom w chwili zjawienia się jakiegoś wyjątkowo wielkiego ducha. Ale temu trochę przeczy los Chrystusa, który przecież jednak wszystkich ludzi nie spowodował podporządkowania sobie.

Że pańskość jest to rzecz wyjątkowa, nadzwyczajna, niepospolita widać z samego języka polskiego, bo niepana nazywa się człowiekiem prostym, a człowiek prosty znaczy to samo, co człowiek zwyczajny, człowiek poprostu, człowiek jako taki, człowiek pospolity, czyli taki człowiek, którego jest bardzo dużo, którego się spotyka wszędzie, nagminnie, który tworzy ogół ludzki, masę, pospólstwo, szablon ludzki.

Każdy pan jest wyjątkowym człowiekiem, choć to nie znaczy, że każdy wyjątkowy człowiek jest panem.

Dla teorji o państwie byłoby pożytecznie ustalić ilu jest w narodzie panów, a ilu ludzi prostych. Otóż ilość panów jest taka sama jak i ilość rzeczy wyjątkowych. Ale nie można ustalić dokładnie ile wogóle jest rzeczy wyjątkowych. Bo poczucie, że coś jest wyjątkowe, jest dość indywidualne i co dla jednego jest wyjątkowem, dla innego może niem nie być. Wszakże bezwątpienia wszyscy zgodzą się, że wyjątki to znikomy procent całości. Jednak czy stanowią one 1% całości, czy 2%, czy jakiś ułamek procenta nie można ustalić. Oprócz tego trzeba podkreślić, że niemożebne jest to nietylko dlatego, iż miernik wyjątkowości jest indywidualny i niepewny, ale i dla tej przyczyny, że i sama ilość rzeczy wyjątkowych (biorąc objektywnie) niezawsze jest taka sama, a może ulegać wahaniu, wahaniu w pewnych granicach. Tak więc może być przypadek, że wyjątków niema wcale, a dzieje się to wówczas, gdy jakaś kategorja rzeczy składa się z rzeczy jednakowych, wyrównanych.

W innych znowu warunkach można też przekonać się, że wyjątków bywa więcej, albo mniej. Uwzględniwszy ten wywód, a nie wdając się w drobiazgowe analizowania, można tu napisać następujące prawo ogólne: ilość wyjątków we wszelkich możliwych przypadkach waha się od zera do jakiegoś bliżej nieokreślonego, ale znikomego procentu całości.

Tak też i ustalanie ilości panów, choć i nie może być uskutecznione ściśle, musi być oparte na powyższej regule wyjątków. Do końca świata ilość panów nie może przestać być ilością rzeczy wyjątkowych i choć może być w jakimś narodzie trochę mniejsza, albo trochę większa, to jednak żadną miarą nie może być większa od jakiegoś bliżej nieokreślonego, ale znikomego procentu całości. Pańskość w naszem ujęciu to w swoim rodzaju twórczość—otóż i ludzie twórczy to są też wyjątki, a olbrzymia większość są nie twórczy.

Wobec tego łatwo zrozumieć, że nie tylko takie czynniki jak kultura, „postęp”, czy jeszcze coś nie są zdolne zrobić, jak już pisaliśmy, żeby panów było dużo, ale nawet siła wszechmocna nie jest w stanie tego uczynić, czyli uczynić, żeby dużo było rzeczy wyjątkowych. Bo już w samem słowie „wyjątkowy” zawarte jest twierdzenie, że coś spotyka się bardzo rzadko. Nic nie pomoże też tytułować wszystkich panami. Nawet odwrotnie, jeśli do wszystkich mówi się pan, to może się stać tak, że wogóle panów niema, że ilość ich staje się zerem, że stają się oni zlikwidowani. Jakżeż więc serjo może być dzisiaj pan, jeśli pan mówi się dzisiaj niemal do każdego? Wyjątki spospolitowane to już nie wyjątki. Używanie tytułu pan w stosunkach demokratycznych jest śmieszne i jest poniekąd bezprawiem i podobne jest do tego jak to bywa, że podczas rewolucji tłuszcza wdrze się do jakiegoś pałacu i powdziewa na siebie różne stroje swych niedawnych władców nieumiejętnie. Jakżeż więc serjo może być dzisiaj panem choć ktokolwiek, chociażby prezydent, jeśli pan mówi się dzisiaj niemal do każdego, kto jest mniej lub więcej przyzwoicie ubrany, jeśli pan mówi się nawet do żyda?

Dawniej w Polsce szlachty było około 8%. Jeśli od tej liczby odjąć znaczną większość, którą była szara masa szlachecka i nie mogła być zaliczona do panów w naszem ujęciu, a dodać do pozostałości te nieliczne jednostki z ludu i z mieszczaństwa, które mogły być o typie pańskim, jakoteż różnych watażków i zbójników, to otrzymamy ogólną ilość panów w narodzie. Ilość ta nie może być określona dokładnie, ale prawdopodobnie wyniosłaby jeszcze znacznie mniej niż owe 8%, czyli liczba formalnie nobilitowanych.

* * *

Państwo to działanie panów, tych nielicznych jednostek, tych ludzi nadzwyczajnych w biernej masie ludzkiej, przemaganie jej oporu i tem samem wiązanie jej. Jeśli wepchnąć szpadę w stos jabłek, to jabłka nadziewają się na klingę i temsamem wiążą się z sobą.

Niezupełnie dobrze jest porównać państwo ze zjawiskiem przemawiania kogoś do tłumu. Taki wiec to raczej naród bez państwa. Bo na takim wiecu związek pomiędzy ludźmi jest tylko duchowy i pochodzi stąd, że ludzie wspólnie słuchają mówcę, wspólnie go chwalą, lub ganią, wspólnie poddają się jego przemaganiu. Tak więc naprzykład Polacy w wieku XIX-ym byli tylko narodem, bo związani byli tylko tem, że wspólnie słuchali Mickiewicza i podobnych mu. Państwo natomiast stosuje przemoc i przymus i dlatego lepiej państwo porównać nie z wiecem, gdzie ludzie z własnej woli słuchają, albo nie słuchają, przychodzą, albo odchodzą, ale z wykładami w szkole, gdzie jest nietylko dobrowolne słuchanie, ale i stosują się w razie nieposłuszeństwa represje. I tak samo, jeśli w szkole nauczyciel nie cieszy się sympatją, to więcej musi stosować przymusu, tak samo w państwie im bardziej niepopularny jest rząd, tem większą role ma policja. I tu też chwila dzisiejsza dobrym jest przykładem. Jednak i podobieństwo państwa ze szkołą niezupełnie jest odpowiednie, bo młodzież w porównaniu ze starszymi, choć i jest w pewnym stopniu czynnikiem nowym i mającym poniekąd prawo do autonomji i do sprzeciwiania się starszemu pokoleniu i wprowadzenia własnej woli, to jednak wola ta i niezależność młodzieży w porównaniu z wolą i niezależnością podwładnych w państwie powinna być mniejsza. Bo młodzież jest czemś niesamodzielnem w samej swej istocie. Oprócz tego jest jeszcze szczególny i bardzo ważny związek pomiędzy ludźmi i ich rodzicami i dzieci powinny mieć głęboki szacunek dla rodziców. Dlatego też jedno z najważniejszych przykazań jest: czcij ojca swego i matkę swoją, w innem zaś miejscu Pana Boga poprostu ojcem zwać zalecono. Otóż więc tak wielkiej zależności podwładnych od panów niema, bo podwładni są jako ludzie pełnowartościowi i samodzielni. I tylko wyjątkowo zasłużonych panów i władców nazywa się czasem ojcami narodu, co zresztą i tak jest raczej trochę ryzykowne i przesadzone. I niedość tego, bo człowiek prosty jest nawet chyba doskonalszy od pana, który nim rządzi — pan jest piękny — to prawda, ale człowiek... jest stworzony na wyobrażenie Boże[1]). W tem się objawia skażenie tego świata, że gorsi panują nad lepszymi. Tak też sprawa przedstawia się z mężem i niewiastą: on jest stroną panującą, ale ona jest raczej czemś doskonalszem. Uwzględniwszy to, trzeba stwierdzić, że państwo nie powinno zanadto dominować nad człowiekiem i powinno być bardzo wrażliwe na opór ludzkości, która jest w niem, ludzkości, nad którą panuje. To nie znaczy, że władcy powinni zawsze ulegać życzeniom i instyktom masy, a czyni tak tylko niegodziwa demagogja — owoc demokracji, jednak państwo musi być jednocześnie i bezwzględne i surowe i jednocześnie ze słodyczą ulegające. To nie może być ogarnięte rozumem — to jest paradoks. Można tu znowu przytoczyć dla porównania współbycie z sobą męża i żony. A więc mąż bezwolny i prowadzony przez żonę — to hańba, ale mężczyzna, co nie ulega kobiecie i nie umie korzystać z niej jak z drogowskazu, jak z delikatnej busoli, schodzi zwykle na manowce. Kobieta powinna być pod panowaniem mężczyzny i dopiero ulegając mu i zatracając własną wolę, poddając się niejako zmiażdżeniu przez mężczyznę — kieruje nim. Można też porównać współdziałanie na siebie państwa i ludzkości z pracą artysty w jakimś materjale. Otóż i tutaj też artysta jednocześnie używa gwałtu i przemocy naprzykład w stosunku do kamienia, w którym rzeźbi, a jednocześnie w każdej chwili czuje właściwości tego kamienia, tego cofającego się, ustępującego kamienia i czuje ciągle jego, powiedzmy, nieme, milczące błaganie. I jeśli patrzeć na wielkie dzieło sztuki, to zawsze uderza nas ten zawarty w niem niepojęty paradoks i dziwnie współżyją w niem ze sobą tyraństwo, autokracja, dogmatyczność, twardość, bezkompromisowość i t. d., a jednocześnie miękkość, wdzięk, słodycz, słabość, uległość, łza i t d. Bo dla artysty prawem bezwzględnem jest i jego natchnienie, jego zamierzenie, jego wizja, idea i tak samo prawem ten bierny pierwiastek, ta bierna niejako część dzieła sztuki, ten materjał i jego właściwości, ten opierający się i już rezygnujący z oporu kamień, w którym natchnienie to właśnie ma ucieleśnić się, utkwić, ugrzęznąć, zagnieździć się, stanąć, zamieszkać, zatrzymać się, jak błąkający się podróżny w domu zajezdnym. Jakżeż artysta nie ma kochać materja-

[1]) Doskonałość człowieka prostego omawia artykuł „Pożar czy oświata?”, „Myśl Narodowa”, czerwiec 1935.

łu, w którym pracuje, jeśli bez materjału nie jest w stanie uczynić dzieła? Jakżeż dusza ludzka nie ma kochać krwi, w której oto sobie mieszka? I piękno powstaje tylko z łagodnego, miłosnego, choć jednocześnie bezwzględnego i okrutnego przemagania materjału. Tak przecież i w miłości łączą się ze sobą delikatna i aksamitna pieszczotliwość, a jednocześnie drapieżność i okrucieństwo namiętności. I praca artysty podobna jest do wiatru, co kołysze wysoką koroną drzewa, którą raz po raz pochyla i której pozwala raz po raz cofnąć się z powrotem. Do nieskończoności można snuć to rozmyślanie, ale żadną miarą niepodobna ustalić tu żadnych wzkazówek praktycznych, ani ścisłej reguły i określić stopnia w jakim artysta powinien działać gwałtem, przemocą, a w jakim stopniu powinien działać uleganiem, ulegając elastyczności niejako uciśniętego materjału, ale oto rozum ludzki przy myśleniu o tem sam sobie wydaje się niedorzecznym, sam sobie raz po raz zaprzecza, raz mówi biało, a raz mówi znowu czarno, choć mówi o tem samem, bo rozum mówi, że praca artysty to gwałt i uległość, owszem rozum mówi że praca artysty to jednocześnie i gwałt i uległość.

Zagadnienia te to mur, którego rozbić rozum nietylko nie jest w możności, ale o który uderzywszy się sam upada rozbity i okrwawiony. Podobnie też wewnątrz w człowieku jest, jak wiadomo, wola i natchnienie, jest władza komponująca i improwizująca, które są dziwnie ze sobą skłócone i związane. Bo i tu też i do końca świata nikt nigdy określić nie będzie w stanie, w jakim stopniu człowiek powinien stosować wolę, a w jakim ulegać natchnieniu, w jakim stopniu komponować i planować w sztuce i w życiu, a w jakim stopniu dawać się ponosić natchnieniu i improwizowaniu. I oto znowu stoimy wobec paradoksu, stoimy bezradnie, a rozum oto obnaża nagle swoją ziejącą ranę, swoje fatalne przepołowienie, szpetną anomalję, jakąś niby zajęczą wargę, bo mówi z jednej strony i to, że wola człowieka to rzecz stanowczo pierwszorzędna i że zawsze trzeba stanowczo z całej siły wolą swoją działać i że trzeba być koniecznie żelaznym, stalowym atletą, Herkulesem, Bogiem nieomal, a z drugiej strony mówi i to, że wolę trzeba stanowczo odrzucić i całym sobą, całą swą istotą trzeba oddawać się natchnieniu i że stanowczo trzeba być najzupełniej takim jak lekkie, bezwładne i bezwolne piórko raptownie porwane nieoczekiwanym wiatrem.

Tak samo też oczywiście żadną miarą określić nie można z jaką siłą państwo powinno opór ludzkości przemagać, a w jakim stopniu powinno ludzkości ulegać.

Bo i kto też mógłby wymierzyć w jakim stopniu kawaler winien być agresywny, a z jaką siłą panna winna się opierać, w jakim stopniu kawaler winien jest uszanować opieranie się panny, a do jakich granic panna powinna tolerować zakusy kawalera i przebaczać mu jego zaczepki i zaloty?

Ale można twierdzić napewno, że państwo to nigdy nie jest dobrowolna umowa ludzi, jak chce tego liberalizm i demokracja, a jest to zawsze walka i ścieranie się i działanie wzajemne na siebie dwuch obcych pierwiastków, dwuch różnych gatunków ludzkich, gatunku rządzącego i gatunku rządzonego, pana i człowieka, człowieka nadzwyczajnego i człowieka zwyczajnego. Państwo to przemoc, to panowanie, a nie umowa zbiorowa (*contrat social*), jak uczą ciemne raczej głowy „epoki oświecenia", co chciałyby państwo upodobnić do jakiejś spółdzielni mleczarskiej lub jajczarskiej.

(Dok. n.) LEON MACIAŃSKI

HORACY

WSPOMNIENIE WOJNY DOMOWEJ

(DO ASINIUSA POLIONA, HISTORYKA I TRAGIKA)

Igrzyska losu śledzisz—i badasz grunt,
z którego wzrosła wojna, domowy bunt,
i sojusz możnych, groźny światu,
w Metellowego czas konsulatu [1]).

I trącasz oręż, splamion niezmytą krwią,
i kostki—słynne tak hazardowną grą!...
Po zgliszczach stąpasz, kędy zdradnie
ognia zarzewie się tai na dnie...

Dziś twych tragedyj rozgłos ze sceny zszedł —
na krótko chyba!... Jušci ukończysz wnet
pisanie dziejów — i powtórnie
na cekropijskim staniesz koturnie.—

Polionie, świetny mówco sądowych spraw
i pierwszy w radzie, śród senatorskich ław,
któremu triumf losy przędły,
dając w Dalmacji ów laur niezwiędły!...

Dziś słuch przerażasz wrzawą bojowych surm
i groźnych rogów graniem, głoszących szturm:
przed lśnieniem zbrój, przed broni szczękiem
jeźdźcy i konie pierzchają z lękiem...

I wielkich wodzów, zda się, oglądam znów,
kurzawą bitwy skrytych od stóp do głów...
Podbity widzę świat dokoła —
Katon jedyny nie ugiął czoła!...

Nad ziemią Afrów ongi straciwszy rząd,
rzuciła Juno ów niepomszczony ląd...
Po latach—w odwet—wnuków ciała
cieniom Jugurty na pastwę dała!

Wśród pól, gdzie posiew krwi bratobójczej wsiąkł,
czyż mało mogił?... śladów niezbożnych rąk?...
pomników owych wojen, kiedy
klęskę Hesperii słyszały—Medy?...

I jakaż topiel, jakiej to rzeki nurt
nie widział rzezi, bitew nieszczęsnych, burd?
I jakież morze śród tych czynów
nie zabarwiło się krwią Latynów?

— — — — — — — — — — —

Lecz czemu, Muzo, zamiast weselszych scen,
Symonidowy każesz mi nucić tren?
Odpocznij ze mną w grocie Diony, [2])
strojąc mą lutnię na lżejsze tony!...

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

[1]) Od konsulatu Metellusa Celera (r. 60 przed Chrystusem), kiedy to zawiązał się „sojusz możnych" czyli pierwszy triumwirat, rozpoczynają się owe zdarzenia, które doprowadziły do wojny domowej między Cezarem a Pompejuszem, rozpoczętej słynnem „rzuceniem kości" (*alea iacta est*) nad Rubikonem, a zakończonej rozgromem stronników Pompejusza w Afryce (śmierć Katona młodszego w Utyce, bitwa pod Tapsus). Te właśnie zdarzenia zamierzał opisywać Polio, kiedy syt działalności politycznej (słynny konsulat w r. 40, sławiony w mesjanistycznej sielance Wergilego; triumf nad Dalmacją) wziął się do twórczości literackiej.

[2]) Diona — według niektórych wersyj mitologicznych matka Wenery; tu raczej sama Wenus, bogini miłości.

NA WIDOWNI

Wspomnienia sprzed lat szesnastu. — Piosenka jako przejaw psychiki żołnierza polskiego w latach 1918 — 1920. — Lud w armji.

TRAFNĄ MYŚL miała redakcja „Warszawskiego Dziennika Narodowego" przedrukowując od paru tygodni codzienne komunikaty sztabu polskiego sprzed lat szesnastu: nawet dziś, choć już tyle czasu upłynęło, choć już wiemy o szczęśliwem zakończeniu, jeszcze krew w żyłach mrożą te „nie mające siać paniki", biuletyny o nieprzyjacielu, ponoszącym „poważne straty" coraz bliżej Warszawy, o naszej armji, „cofającej się zgodnie z planem", z szybkością kilkudziesięciu kilometrów w ciągu doby... W pamięci stają te słoneczne, ciepłe, a jakże posępne dni sierpniowe, dni odwrotu i klęski, grozy rosnącej wciąż i coraz twardszej, krzepnącej w duszach determinacji: Raczej polegniemy tutaj wszyscy, do ostatniego, lecz nie staniemy się jeszcze jednem pokoleniem emigrantów, opłakujących jeszcze jeden upadek Ojczyzny...

Ale równocześnie wzbiera, zalewa świadomość fala wspomnień najradośniejszych: dnia Cudu Wisły, dnia zwycięstwa. Nie pamiętam już, w jaki sposób wiadomość o wygranej dotarła do naszej kompanji, obozującej wtedy w Zboiskach koło Lwowa i mającej osłaniać miasto na wypadek ataku Budiennego. Był pogodny, cichy wieczór, zgromadziliśmy się w pobliżu kuchni polowej w oczekiwaniu posiłku, kiedy nagle uczynił się ruch: czytano głośno otrzymany skądś w tej chwili strzęp gazety z komunikatem o triumfie pod Warszawą. Takiego szczęścia nie zaznaje się drugi raz w życiu! Byliśmy, najdosłowniej, pijani radością: jęliśmy podrzucać do góry dowódcę naszej kompanji, jakgdyby to on właśnie był autorem planu strategicznego, który rozstrzygnął na korzyść Polski losy wojny. A potem wybuchnęły pieśni, odbijając się echem od chat i sadów: „Panna umierała...", „Małgorzatka", „Towarzystwo weteranów..."

*

Piosenka żołnierska... Niemal każde wydarzenie z lat wojennych kojarzy się we wspomnieniu z melodją tej albo innej śpiewki. Żałowałem zawsze, że piosenka wojskowa z lat 1918—1920 nie znalazła swego monografisty, że pamięć o tem, jaką była w rzeczywistości, zanika niepowrotnie, boć i teksty, zachowane w śpiewnikach, są bardzo wypolerowane, „wyczyszczone", i w żywej tradycji — w koszarach i na ćwiczeniach — zmienność mody z każdym rokiem więcej zastępuje dawny repertuar przez nowy.

Zapewne, monografja taka nastręczałaby niejakie trudności, choćby dlatego, że ze względu na przyzwoitość publiczną zbyt wiele słów i zdań musiałoby być... wykropkowanych. Ale z drugiej strony, rzecz mogłaby być interesująca nietylko jako pamiątka, lecz pozwoliłaby wejrzeć bliżej nieco w psychologję żołnierza z okresu pierwszej wojny naszej po odbudowaniu państwa. Na ten temat — o ile moja pamięć sięga — niejedne dałyby się wysnuć ciekawe wnioski.

Przedewszystkiem uderza mnie fakt znamienny, że wielka część najchętniej wtedy śpiewanych piosenek bynajmniej nie miała tematu wojennego: „Małgorzatka dziewczę młode...", „Chodziła po polu...", „Pytała raz pani...", „Niedaleko jeziora..."— możnaby ułożyć długą listę utworów najpopularniejszych, gdzie o wojnie, żołnierzu nie wspomina się ani jednem słowem. Wówczas nawet, kiedy zjawia motyw wojskowy, często bliższy bywa koszar, zabaw podczas urlopu, aniżeli pola bitwy („Posłuchajcie wy cywile...", „Towarzystwo weteranów" i t. d.). Pochodzenie tych piosenek najrozmaitsze: folklor wiejski i miejski, stare, przedwojenne nieraz kuplety kabaretowe obok tradycyjnych, patrjotycznych pieśni powstańczych czy legjonowych.

To w każdym razie można uznać za regułę, iż utrzymywały się jedynie utwory najłatwiejsze, zarówno jeśli chodzi o tekst jak melodję. Skoro zdarzył się jakiś wyraz niezrozumiały, zastępowano go bez ceremonji przez inny, tak naprzykład w jednej piosence: „piękną d o n n ę" przerobiono (bezsensownie zresztą) na... „ż o n ę", w innej tajemnicze: „mówiłem jej w B u d a p e s z c i e" na mniej znacznie wątpliwości budzące „p r z y a g r e ś c i e" i t. p. Już i wspominać nie warto co wyrabiano z przywiezionym przez hallerczyków z Francji przekładem „*Madelon*"...

Temat — że się tak wyrażę — miłosny w śpiewce żołnierskiej niemal automatycznie prowadził do... kropek. Pod tym względem największa bodaj zaznaczyła się odmienność stylu w porównaniu z dyskretnem, salonowem — można rzec — traktowaniem tego przedmiotu w piosenkach powstańczych, takich np. jak „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...", „Co tu marzyć...", „Za Niemen...". Rozbrajająca zwłaszcza bywała „subtelność" „dwuznacznych" — jak się wydawało śpiewającym — „dowcipów..."

Mam wrażenie, iż wszystkie te, wyżej wskazane cechy piosnki żołnierskiej z lat 1918 — 1920 posiadają jedno źródło wspólne: powszechny, ludowy charakter ówczesnego wysiłku zbrojnego narodu. Po raz pierwszy — od czasu „potopu" szwedzkiego conajmniej — lud tak gromadnie chwycił za broń, i ten fakt właśnie zaznaczył się wyraziście w całym typie duchowym młodej armji Polski odrodzonej. Właśnie dlatego, że wysiłek ten był powszechny, wydawał się uczestniczącym w nim czemś naturalnem, nie wymagającem nieustannej gloryfikacji w pieśni i słowie, odmiennie zgoła od zrozumiałej zresztą psychologji garści legjonistów czy powstańców, opiewających własną swoją nadzwyczajność jako tych wyjątkowych, co „zdobyli się na czyn". Motyw patrjotyczny zaś — w nowej jego, ludowej interpretacji — nabrał jakiegoś świeżego całkiem, rozrzewniającego swoją naiwnością wyrazu:

„Hej tam na Litwie z naszych kościołów
Porobił Moskal stajnie dla wołów,
Idźmy pobić te bydlęta,
Bo to nasza wiara święta..."

Jakbym widział dziś jeszcze i słyszał tych dwudziestoletnich chłopaków, z karabinami na ramionach, w ciężkich butach żołnierskich maszerujących w takt tej pieśni po rozżarzonej skwarem sierpniowym, piaszczystej drodze...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

BOGOWIE ŁAKNĄ KRWI. O tem, że bogowie „rewolucji" spragnieni są zawsze przedewszystkiem krwi „wrogów ludu", świadczyć może, nie wiedzieć już po raz który w dziejach, sposób w jaki walczą ze swoimi przeciwnikami w Hiszpanji: to już nie walka o republikę, której zagraża „reakcja" — jakby powiedział poseł Smoła albo Waleron — ani walka „uświadomionego" proletarjatu z ideologią burżuazji, czy arystokracji, lecz szał zbrodniczy rozbestwionego motłochu, któremu „ideolodzy" republiki włożyli miecz do ręki.

Dość rzucić okiem na niektóre ilustracje—nawet naszych pism—przedstawiające sceny, jakie w tej wojnie domowej rozgrywają się na ulicach Madrytu, Toleda, Barcelony i t. p. miast hiszpańskich, w których rządzi dotychczas „legalny" rząd republiki, żeby się przekonać jaki to gatunek ludzki przeważa wśród obrońców t. zw. swobód republikańskich.

Sceny z walk morderczych w Hiszpanji sprzed stu kilkudziesięciu lat, które uwiecznił genjalny Goya, wyglądają jak pasterskie sielanki wobec piekła wytworzonego tam przez bandy anarchistyczno-komunistyczne *„Frente populear"*.

Nie jest to, oczywiście, walka o utrzymanie „regularnego rządu", uosobiającego prawowitość władzy, jak twierdzą wciąż zwolennicy „frontów ludowych" innych krajów, ani walka w obronie własnego życia, lecz jakiś opętańczy sadyzm, spragniony mordu, pożogi, zniszczenia oraz widoku wszelkiej ohydy, jaką się cynicznie dokonywa na pokonanym przeciwniku.

Nie chce się już wiedzieć kto nim jest właściwie, bowiem morduje się bez wyboru — dzieci i starców, cudzoziemców, neutralnych, podejrzanych, demokratów i republikanów, nawet socjalistów (tak!), i wogóle Bogu ducha winnych.

Z okrzykiem *„viva la muerte"* (niech żyje śmierć!) morduje się każdego, kto się nawinie pod oszalałą, wzniesioną do mordowania rękę.

No i to, w obłudnem słownictwie wszelkich „frontów ludowych" naszych czasów, nazywa się świętą walką z „faszyzmem" w obronie pogwałconych przez niego „praw człowieka i obywatela"...

Czem to grozi owym nieśmiertelnym prawom, o tem z trwogą zaczynają już odzywać się ci, co byli przez całe życie ich głosicielami, co za nie cierpieli więzienia i prześladowania.

W tej zbolszewizowanej Hiszpanji odezwał się oto Miguel de Unamuno, filozof i jeden z ojców republiki hiszpańskiej. Więziony niegdyś za swoją wiarę republikańską za monarchji, dzisiaj może być uwięziony—przez republikanów, jak chodzą pogłoski za śmiałą odezwę, w której tak powiada między innemi: „Nie chodzi wcale w tej sprawie o ideje czy też ideologje przeciwstawiające się sobie: chodzi poprostu o ratowanie cywilizacji zachodniej, która jest w wielkiem niebezpieczeństwie. Pomimo mego wieku oddaję się do dyspozycji obrony narodowej przeciw oficjalnemu bolszewizmowi... Trzeba, powtarzam, ratować cywilizację zachodnią, cywilizację chrześcijańską, które znalazły się w groźnej sytuacji". Inny wielki republikanin, b. prezydent Republiki Hiszpańskiej Zamorra, także niegdyś więzień stanu za swoje przekonania, wyznaje, że „wolałby zostać przez całe życie w więzieniu niż stać na czele republiki hiszpańskiej, której założenie stało się przyczyną wtargnięcia najciemniejszych żywiołów z całego świata, podkopujących jej uczciwe i czyste podstawy"...

Tak się dzisiaj na stan rzeczy w Hiszpanji zapatrują ci intelektualiści, szlachetni marzyciele, co w dość znacznej mierze byli sprawcami mściwego rozpętania jej złych duchów.

Ale, pomimo ich skruchy, nie od nich zależeć będzie ratunek Hiszpanji! Ratunek już wyszedł, już idzie od tych zdrowych mas narodu, co nie rozumieją istnienia własnego bez wiary, bez kultury, bez niezniszczalnych tradycyj wieczystej Hiszpanji. Od tych co hasłu: *„viva la muerte"*, przeciwstawiają hasło życia z honorem, w wierności i czci dla tego, co stanowiło w ciągu wieków o wielkości narodowej i cywilizacyjnej Hiszpanji. Strumienie żywej krwi poleją się—już się leją—z tego powodu, ale odpowiedzialność za jej bratobójczy przelew spadnie na krwiożerczych „bogów rewolucji"— co jej zawsze są niesyci. (W. J.)

GDY IZRAEL JEST KRÓLEM! Wiemy coś niecoś z ostatnich dziejów Rosji i Węgier, jak uroczo wygląda „Królestwo Izraela" na ziemiach narodów chrześcijańskich i może dowie się wkrótce o tem Francja, w niej bowiem do tego „królestwa" nie wiele już braknie. Proszę podziwiać:

Premjerem jest p. Leon Blum, jego prawą ręką p. Moch; ministrem „wychowania narodowego" jest niejaki p. I. Zay, znany z tego, iż sztandar narodowy nazywał „plugawą ścierką"; jego wiceministrem jest pani Brunschwicq; szefem gabinetu jest p. M. Abraham, dyrektorem zaś departamentu Sztuk Pięknych p. Huisman.

A teraz w innych ministerjach: min. rolnictwa; R. Lyon, szef gabinetu, Weil, *attaché* parlamentarny (!); min. handlu: H. Alphand, szef. gabinetu; min. ekonomji narodowej: I. Caen-Salvador, urzędnik do specjalnych misyj; min. finansów: Weill-Raynal, urzędnik misyjny; min. spraw wewn.: Roland Béchoff, *attaché*; min. sprawiedliwości: Weil, urzędnik misyjny, Rodrigues, *attaché*; min. marynarki: Weil, *attaché* parlamentarny; min. zdrowia publicznego: dr. Haseman, szef gabinetu, Margueritte Wusler, *attaché*; min. pracy: I. Dreyfus, dyrektor gabinetu; min. robót publicznych: R. Weill-Rabaud, szef administracji; wice-min. robót publ.: M. Blum-Picard, dyrektor gabinetu; wice-min. nauczania technicznego: M. Leser, szef sekretarjatu, L. Gros, *attaché* etc. etc.

Publicyści francuscy, mając na względzie napływ do Francji masy najciemniejszych żywiołów obcych, powiadają, że Francja „jest dla wszystkich", widać jednak, iż przedewszystkiem dla synów Izraela.

NOWY TOM „ROCZNIKA LITERACKIEGO" ZA ROK 1935-ty w rozdziale „Literatura polska w przekładach" (jak zwykle świetnie opracowanym przez Piotra Grzegorczyka) podaje czytelnikom bilans bynajmniej nie cieszący. Zróbmy krótką serję stwierdzeń.

A więc Niemcy przyswoili sobie dwa utwory Choromańskiego, dwie nowele i jedną powieść Goetla, Kurka „Grypę", oraz Wierzyńskiego „Wyrok śmierci".

„...Dziesięć razy więcej przetłumaczyliśmy w tym samym okresie z beletrystyki niemieckiej..."

Francja.—„Znikome zainteresowanie literaturą polską we Francji..."

Lepiej jest we Włoszech („Najcenniejszą i najtrwalszą pozycją wśród poloników włoskich 1935 r. jest bezsprzecznie dział *Polonia* w XXVII tomie pomnikowej *Enciclopedia Italiana*").

W Hiszpanji podawnemu Sienkiewicz i Reymont.

„Wśród przekładów na język angielski na czoło wysuwa się wersja „Marji" Malczewskiego..." Ponieważ o innych pozycjach głucho, więc rodzą się zrozumiałe podejrzenia.

„Żywsze zainteresowanie Polską na północy Europy widzimy jedynie w Szwecji".

Czechosłowacja jak zwykle nie najgorsza, Jugosławja tłumaczy bardzo niewiele, Rosja—parę pozycyj (wobec nawału komunistycznej twórczości u nas!), Litwa przełożyła „Faraona" Prusa i „Dzieje grzechu" Żeromskiego, Łotwa jedynie „Quo vadis", Węgry—„...nosząca wyraźnie podłoże polityczne akcja kulturalnego zbliżenia węgiersko-polskiego osiągnęła pewne formalne sukcesy..."

Formalne sukcesy!

Pozatem osobna pozycja druków o marszałku Piłsudskim. W sumie imponująco. Nie?!

Powody? Powtórzmy słowa Pawła Cazin:

„... O ile orjentuję się w waszej dzisiejszej literaturze, ma ona wszelkie szanse, by rozwijać się pomyślnie i zainteresować sobą w przyszłości Zachód. Mówię w „przyszłości", gdyż wiele trzeba jeszcze wysiłków, by wyrąbać na Zachodzie — jak powiada Morcinek — swój chodnik! Czy myślę o propagandzie? — (uśmiechnął się zagadkowo). Przedewszystkiem myślę o wielkim pisarzu, takim pisarzu, któryby znalazł w sobie słowo dla wyrażenia dzisiejszej Polski, czy dzisiejszego w Polsce człowieka, słowo własne, do gruntu prawdziwe. Może się mylę, lecz według mnie jest to sprawa przyszłości..."

Cazin ma rację. Jest to sprawa przyszłości, bo jest to sprawa atmosfery w którejby talenty— a mamy ich, chwała Bogu, sporo — nie marniały, lecz przeciwnie, rozwijały się i kwitły. Jakże tu dzisiaj myśleć o naszej literackiej ekspansji, gdy „Rocznik" p. Leona Piwińskiego aż dwie duże stronice poświęca Irenie Goldberg-Krzywickiej, artykuł swój rozpoczynając ni mniej ni więcej, tylko takiem zdaniem: „Żadną z wydanych w r. 1935 powieści nie wzruszyłem się tak bardzo, jak dwutomową powieścią Ireny Krzywickiej..." A dalej: „...autorka jest samodzielna i niezależna: obserwacje i poszukiwania prowadzi na własną rękę, a rezultaty poszukiwań mierzy własną miarą...". I zapytanie: „Co powiedzieć o samej tendencji, przeprowadzonej tu z takim poświęceniem? Bohaterka powieści walczy z miłością, ulegając jej aż do ostatecznych konsekwencyj...".

Potrzeba zilustrowania własnych słów, każe krytykowi streścić fabułę owych dwuch tomów. Posłuchajmy:

„...panna Helena, półinteligentka pracująca jako gospodyni w pensjonatach, kocha się w żonatym lekarzu, oddaje mu się, przechodzi operację spędzenia płodu, jest nieszczęśliwa dlatego, że dr. Piotr pomimo obietnic nie może się z nią ożenić (nie ma odwagi zrywać z żoną) i dlatego, że tenże dr. Piotr widzi w niej tylko kochankę, a nie widzi człowieka; Helena cierpi dopóki pragnie małżeństwa z Piotrem: potem jednak wyzwala się z tego pragnienia, z półinteligentki staje się powoli kobietą inteligentną, o własnem życiu wewnętrznem i własnych zainteresowaniach; małżeństwo nie jest jej potrzebne: dr. Piotr nie będzie dla niej przedmiotem udręki, tyranem panującym nad jej zmysłami; będzie miłym kochankiem — wtedy, kiedy Helena zechce i na jak długo zechce..."

„...Na jak długo..."—to jednak może będzie trochę i od niego zależało...

P. Leon Piwiński wzruszył się tem wszystkiem, jak żadną inną powieścią z wydanych w r. 1935-tym. Z tego wniosek o wartości dzieła, zwłaszcza, iż „...autorka posiada wybitny talent widzenia i wyrażania" (nazwano go kiedyś w rubryce „*panopticum*" „stylem krzywickim").

I cóż dziwnego, że Cazin mówił: „...Czy myślę o propagandzie? — (uśmiechnął się zagadkowo). Przedewszystkiem myślę o wielkim pisarzu..."

PLAGA HANDEŁESMANÓW

MÓWI SIĘ u nas tyle i tak pięknie deklamuje o realizacji zadań urbanistycznych stołecznego miasta Warszawy: o jej upiększaniu, cywilizowaniu, europeizowaniu, uzdrowotnianiu, odkażaniu, a także i o walce z hałasem ulicznym. Robi się na tych polach istotnie dość dużo, nietyle jednak, by Warszawa naprawdę w rychłym czasie miała się upodobnić do miast europejskich.

Skandalem prawdziwym są, jak wiadomo, sklepy, sklepiki i kramiki żydowskie, obwieszone nieestetycznemi szyldami, buchające na ulicę wyziewami przeróżnych dławiących lub o nudności przyprawiających woni, zawalone tandetnym towarem, leżącym w nieładzie i brudzie,—istne jaskinie złego gustu, bakcyli chorobotwórczych i innych podobnych rzeczy, z któremi z urzędu powinny walczyć różne komisje kultury, hygieny, a przedewszystkiem władze policyjne, jeżeli mają istotnie na względzie dobro mieszkańców Warszawy.

Od owych kramików gorszą jeszcze plagą są wędrowni przekupnie żydowscy, nadewszystko zaś żydowscy handlarze starzyzny, tak zwane „handełesmany". Rozmnożyli się oni i rozpanoszyli nad wszelkie pojęcie ostatniemi czasy, stając się poprostu hańbą i utrapieniem polskiej stolicy. Dawniej ukazywali się tu i owdzie co pewien czas— a potem był spokój. Dziś włóczą się od rana do nocy, niekiedy po dwuch, trzech równocześnie, jawią się na tej samej ulicy, na tem samem podwórzu po sześć i siedem razy, załażą na schody ka-

mienic, dobijają się do drzwi mieszkań. Bezczelność ich nie ma wprost granic. Gdy się ich wyprasza, oni narzucają się przemocą, kłócą się, wrzeszczą, nierzadko oburzają się na tych, którzy u nich kupować nie chcą.

Od świtu, kiedy jeszcze człowiek zmęczony pracą radby nieco snu zażyć, aż do późnego wieczora włóczą się po ulicach i podwórzach, po klatkach schodowych i mieszkaniach żydowskie handełesmany, czyniąc ustawiczny harmider, napełniając ludzkie siedliska swędem i smrodem starzyzny i stęchłej cebuli, roznosząc choroby i robactwo. Brudni, zawszawieni, zapluci, z workami starych gratów na plecach, z długiemi pejsami koło uszu, w chałatach osobliwego kroju, nie stanowią bynajmniej ponęty dla oka — a cudzoziemcom przebywającym w Warszawie dają najgorsze o kraju polskim pojęcie. Zwłaszcza, że do miłego zwyczaju handełesmanów należy zaśmiecanie ulic różnemi odpadkami, szmatami i papierami, a także plucie na chodniki, nierzadko publiczne nawet iskanie się z robactwa. Kiedy się ich widzi, ma się wrażenie najgorszego barbarzyństwa, stojącego na poziomie ludów koczujących.

W imię przeto hygieny i estetyki powinny powołane do tego organy zająć się walką z plagą handełesmanów. Powinny to uczynić i w imię tak dziś propagowanego spokoju i ciszy miejskiej, do której mają prawo uszy i nerwy uczciwych obywateli Warszawy, pracujących ciężko, a spełniających należycie swe obowiązki obywatelskie. Powinny to uczynić wreszcie w imię moralności oraz przepisów karnych.

Ta nałaźliwość handełesmanów bardzo jest podejrzana. Nasuwa się przypuszczenie, ilu to pomiędzy nimi jest paserów i pomocników „melin” złodziejskich, zwłaszcza, że z ożywieniem się ich ruchu dziwnie wzmógł się jednocześnie „ruch” złodziei odzieżowych. Jednych i drugich drogi są wspólne—do Kercelaka.

Owe „tajemnice Kercelaka” oraz różnych odzieżowych sklepów żydowskich zasługiwałyby na zbadanie: okazałoby się wtedy, ile to przenoszonej i zużytej odzieży, dostarczonej przez handełesmanów, sprzedaje się ludziom naiwnym jako towar „nowy”. A zasługiwałoby na zbadanie i to, czy owe handełesmany mają prawo do włóczenia się po ulicach i podwórzach i uprawiania tam swego handlu. Widujemy nieraz, jak policja zatrzymuje i legitymuje różnych przekupniów, sprzedających na wózkach owoce i jarzyny. Nigdy nie widzieliśmy natomiast, by zatrzymywano i legitymowano handełesmanów, choć oni pod każdym względem stanowią pomiędzy przekupniami element najbardziej włóczęgowski i najbardziej podejrzany.

Prócz komisyj sanitarnych, prócz urzędów policyjnych są jeszcze inne instytucje powołane do walki z handełesmaństwem. Są to różne Towarzystwa Przyjaciół Języka Polskiego, Towarzystwa Poprawności Językowej i t. p. Wiele się dziś mówi o szerzeniu kultury i czystości języka — i to nietylko po szkołach, ale organizuje się akcję taką i wśród ludu, w kołach rzemieślniczych czy robotniczych. Akcji tej najzawzięciej przeszkadzają handełesmany, zniekształcające i katujące polszczyznę w sposób poprostu karygodny: „Handełe! Handełe! Kupuję starych ubrań, kamaszy! kamizelków!” i t. d. W Polaku kochającym swój język i umiejącym go cenić, aż się żółć przewraca na takie bezeceństwa, na takie urągowisko z naszej mowy państwowej i narodowej! Jakże możemy dopuścić, by takie drwiny, takie plugawienie najdroższego skarbu każdego Polaka dokonywało się codziennie na miejscach publicznych, w obliczu setek Polaków!

Dodać należy, że zły przykład handełesmanów i innych włóczęgów żydowskich zaczęli od lat kilku niestety naśladować przekupnie polscy. Wprawdzie jeszcze na szczęście nie przyswoili sobie od nich owego charkotliwego akcentu, który jest mowy żydowskiej cechą najznamienniejszą, w każdym razie słyszymy już na targowiskach i ulicach wołanie: „Do pomidory! Do ogórki!” i t. p.

Że po domach warszawskich znajdzie się nie mało zbędnej starzyzny, to prawda. Napewno jednak, skoro czasy są ciężkie i każdy ubranie oszczędza, mniej jej dzisiaj jest do zbycia, niż dawniej, zwłaszcza, że sprzedanie handełesmanowi za parę groszy nie jest znów tak wielkim zyskiem. Przeto nikt z obywateli polskich na tem nic nie straci, jeżeli z ulic i podwórzy Warszawy znikną kiedyś doszczętnie handełesmany. Nawet nie trzebaby na ich miejsce wprowadzać „polskich handełesmanów”, domokrążnych nabywców starzyzny. Rzeczą o wiele bardziej celową i praktyczną byłoby stworzenie jakichś ośrodków skupu starej odzieży, gdzie odzież ta podlegałaby najpierw racjonalnemu odkażeniu, odczyszczeniu i podreparowaniu, a następnie w tym przyzwoitym i gwarantowanym już stanie mogłaby być za tanie naprawdę pieniądze sprzedawana potrzebującej ludności ubogiej, a nawet rozdawana jej darmo. W ten sposób wielu biedaków byłoby odzianych porządnie, wielu znalazłoby drobny może, ale uczciwy zarobek, ominęłoby się zaś pośrednika żydowskiego, Kercelak i melinę, uniknęłoby się chorób, robactwa, brudu, paskudztwa, hałasu i szwargotu żydowskiego.

Może na myśl moją zwrócą uwagę nietylko wspominane tylokrotnie organy bezpieczeństwa, zdrowia i kultury społecznej, ale też kupieckie, społeczne i dobroczynne organizacje polskie, chrześcijańskie.

FEL. LACH

NAUKA i LITERATURA

„JASTRZĘBIA”

W OKRESIE pewnego rodzaju „inflacji“ utworów literackich różnego typu, obierających sobie za temat wieś polską, wyszła z druku książka o wsi, najniesłuszniej przez krytykę niemal zupełnie przemilczana. Mówię o monografji wsi powiatu radomskiego „Jastrzębia“ [1]) napisanej przez człowieka z niej pochodzącego.

Nie można wprawdzie książki p. Mroza zaliczyć do literatury pięknej. Z drugiej strony praca ta jest zabardzo pisana sercem, autor jest zbyt silnie uczuciowo związany

---

[1]) Kazimierz Mróz: „Jastrzębia“. Wieś powiatu radomskiego. Bibljoteka Puławska. Serja prac społeczno-gospodarczych nr. 45. Warszawa 1935. Str. 327+XV.

z opisywaną wioską, aby można nazwać „Jastrzębię“ pracą naukową. Może najbardziej zbliżałaby się ona do rodzaju, zwanego „reportażem”. Mniejsza zresztą o klasyfikację.

Faktem jest, że „Jastrzębia” po „Drodze przez wieś” i „Pamiętnikach chłopów” jest najlepszą książką o wsi, jaka wyszła w ostatnich latach.

Pisana była w niezwykle ciężkich warunkach i surowy krytyk znajdzie w niej niewątpliwie wiele usterek, ale wolimy pisać o zaletach, pamiętając o tem, co autor pisze we wstępie: „O ile z jednej strony moje częste pobyty we wsi i okolicy ułatwiały mi pracę na miejscu, o tyle znów odległość od większych miast, od archiwów, urzędów i bibliotek utrudniała i czyniła kosztowniejszą”.

Niezwykłe trudności musiał przezwyciężyć p. Mróz szczególniej w czasie ciężkiej zimy 1929 roku. „Drogę z Jastrzębi do Radomia[2]) zmuszony byłem odbywać zawsze pieszo, a ponieważ czas miałem ograniczony, więc wyruszałem z domu na długo przed wschodem słońca i powracałem w parę godzin po jego zachodzie. I tak codziennie przez cały szereg dni. A gdym często znużony zawadził wśród ciemności nocy o przydrożny kamień, lub wpadł do rowu napełnionego śniegiem lub wodą, to, podnosząc się, pocieszałem i zachęcałem sam siebie do dalszej podróży i pracy słowami: To dla ciebie wiosko rodzinna. A więc miłości i przywiązaniu do siebie zawdzięcza „Jastrzębia” w znacznej mierze swą monografję!”

Codziennie dwudziestoczterokilometrowy marsz w trzaskający mróz! W innych zupełnie warunkach pracował autor „Mateusza Bigdy”. Szkoda to wielka dla literatury polskiej, napewno bowiem podobne warunki pracy pisarskiej odstraszyłyby go od napisania tego utworu.

W dzisiejszych niewesołych czasach książka Mroza jest zjawiskiem szczególnie radosnem i krzepiącem przedewszystkiem ze względu na osobę autora.

Pochodzi on ze starego i szeroko w Jastrzębi rozrodzonego rodu, jest z zawodu nauczycielem. Mimo, że ze wsi już wyszedł, czuje nadal ścisły związek z ziemią, nadal wzrusza go dola i niedola rodzinnej wsi.

O czemby nie pisał, jakiej sprawy by nie poruszał, wszędzie widać wielkie przywiązanie do Jastrzębi i stałą troskę o jej dalsze losy, za które czuje się odpowiedzialny narówni z tymi, co pozostali na roli i chciałby jaknajwięcej przyczynić się do tego, aby przyszłość była jaknajlepsza.

Pisząc naprzykład o klimacie, wzdycha choć o 2—3 deszcze więcej na wiosnę i w końcu lata, aby piaszczyste gleby mogły dać plon obfitszy. Martwi go trzebienie lasów i drzew, powodujące nadmierne wysychanie ziemi. To też w miarę swych sił i środków przyczynił się do zadrzewienia Jastrzębi. Czyni to zresztą nietylko ze względów utylitarnych ale i estetycznych. Był wogóle (jak się zdaje, choć o tem wyraźnie nie pisze), przodownikiem we wszystkich poczynaniach, która miały na celu rozwój kulturalny i gospodarczy wsi.

Jednej rzeczy, zdaje się, jeszcze dostatecznie nie rozumie, a mianowicie roli żydów. Dzieje się to może pod wpływem protektorów, którzy do wydania książki dopomogli. Może zresztą inne były przyczyny powściągliwego stanowiska w tej ważnej kwestji...

Książka — poza tą luką — daje bardzo wszechstronny obraz wsi i jej dziejów od najdawniejszych czasów, bo od 1191 roku. Jest cennym dokumentem dla badacza, a ciekawą lekturą dla zwykłego czytelnika. J. M.

RUCH WYDAWNICZY

Dr. Antoni Miller, Pierwsza Porozbiorowa Konspiracja Litewska, Spisek ks. Ciecierskiego, przeora Dominikanów Wileńskich (1796—1797), Studjum historyczne, Kraków 1936, Skład Główny w Księgarni Katolickiej.

[2]) Około 12 klm.

Dotychczas badania historji spisków przedsiębranych celem organizowania walki o niepodległość, a i wiadomości ogółu o tych spiskach, niejako ustalały ich działalność w latach od roku 31-go. Tymczasem po wielkiej wojnie, gdy na obszarze minionego zaboru rosyjskiego pozostały otworem dla użytku nauki różne archiwa i kancelarje, ukazała się w rozległej perspektywie działalność narodowa poprzednich pokoleń. „Działalność patrjotyczno-konspiracyjną, wyraźną już w ujęciu sposobów i celu, rozpoczęła t. zw. assocjacja wileńska, utrzymująca kontakt przez trynitarza ks. Aureljana Dąbrowskiego z assocjacją łucko-wołyńską. Konspiracje te, pośrednio przez Centralizację Lwowską z ruchem legjonowym związane, były jego najdalej na północ wysuniętym bastjonem. Łączyły się z niemi pomniejsze assocjacje w Brześciu, Mińsku, Grodnie.” „Po zgnieceniu insurekcji kościuszkowskiej Litwa dostała się pod bezpośrednie rządy administracyjno - policyjne”, typów dygnitarzy tak nikczemnych, że nawet gardzili nimi Rosjanie, poeta Dierżawin, a i car Paweł. Jednak w celu utrwalenia władzy posługiwano się nimi i ich metodą zniszczenia wolnej myśli polskiej, stłumienia nadziei budzących się w sercach w związku ze zwycięstwami Napoleona, zamykano szkoły i klasztory, katowano nauczycieli, księży i zakonników, co znów w narodzie wywoływało odruch sprzeciwu i podniecało stan wrzenia.

Carskie uniwersały, ukazy, pisma przeciw „burzeniu się umysłów”, i korespondencje rosyjskich dygnitarzy towarzyszą nieprzerwanie śledztwom, wyrokom chłosty i śmierci, zsyłkom na Sybir, konfiskatom majątków. W tych warunkach ziemianie, księża i zakonnicy zawiązują „assocjację”, i układają „Akt Powstania Wileńskiego.”

Dalej podaje autor szczegółowy opis śledztw i procesu, włącznie z charakterystycznemi zdaniami protokółów rządowych i zapadłych na podsądnych wyroków. Podaje to w sposób zwięzły i pełen wyrazu, w formie doskonałej, bogatej w treść. Studjum o spisku mówi o tem, co było wówczas w łączności ze sprawą polską w Polsce, w Rosji i zagranicą, jest politycznym obrazem epoki, nastrojów Litwy, i jaskrawej różnicy między Zachodem i Wschodem, kulturą ducha i barbarzyństwem. (A. W.)

NOWE KSIĄŻKI

Płoszewski Leon. Wieczność w notatniku. (O „Księdze Ubogich” Kasprowicza). Warsz. 1936. Bibl. Polska S. 38.

Łubiński Tadeusz. Przewrót ustroju polskiej wsi. Kraków 1936. Dom Książki Pol. Str. 37.

Żegilewicz Zygmunt. Projekt reformy alfabetu polskiego. Warsz. 1936. Nasza Księg. Str. 22.

Vercel Roger. Kapitan Conan. Powieść. Warsz. 1935 Wyd. Nowocz.

Hutten-Czapski Bogdan. Sześćdziesiąt lat życia politycznego i towarzyskiego. 2 tomy. Warsz. 1936. F. Hoesick. T. I str. XI i 652, t. II str. 686.

Petry Juljusz. Mocarze. Opowieść dramatyczna w 5 aktach. Lwów 1936. Reduta.

Instytut Śląski w Katowicach nadesłał nową serję wydawnictw, a mianowicie:

Komunikaty nr. 17 i 18.

Wykaz literatury bieżącej o Śląsku, styczeń-marzec, 1936.

Dzięgiel Władysław. „Król polski Zygmunt I na Śląsku”, szkic historyczny. Str. 22.

Barycz Henryk. „J. S. Bandtkie a Śląsk”. Z dziejów pierwszych zainteresowań się nauki polskiej Śląskiem. Z portr. Str. 54.

Musioł Ludwik. „Zniemczone nazwy miejscowe na Śląsku”. Str. 43.

Alberg Michał. „Cynk, ołów, materjały pochodne”. Monografja gospodarcza. Str. 86.

Piasecki Stanisław. „Postępy przemysłu cynkowego na Śląsku za czasów polskich”. 19 ryc. i mapka. Str. 56.

Jakimowicz Roman. „Kultura Śląska w zaraniu dziejów w świetle wykopalisk”. Z 13 ryc. Str. 35.

Rożdzieński Walenty. „*Officina Ferraria*”. Wydał Roman Pollack. Z 9 tabl. Str. XXV i 113.

Wszystkie powyższe wydawnictwa noszą datę Katowice 1936, są zaś na składzie głównym w Warszawie w Kasie im. Mianowskiego.

POKŁOSIE

PODZIAŁ DÓBR TEGO ŚWIATA

POWTARZA się ogólnie od dłuższego czasu, że żyjemy w dobie rewolucyjnej, a końca tego okresu jakoś jeszcze wciąż nie widać, można raczej powiedzieć, że jesteśmy dopiero w początku wielkich przemian. Nie potrzeba być zwolennikiem materjalistycznego pojmowania dziejów, żeby dostrzec iż kwestje ekonomiczne grają dużą rolę w tych procesach, tembardziej, że socjalistyczna rewolucja rosyjska wysunęła je na plan pierwszy, a obecnie podążają za nią jej naśladowcy francuscy.

W starszych wypisach szkolnych można było niejednokrotnie spotkać opowiadanie, jak to jakiś żebrak przyszedł do Rotschilda (przed kilkudziesięciu laty gdy chodziło o przedstawienie potęgi pieniężnej to zawsze występował Rotschild; dziś ta sława mocno już wyblakła, wiedeńscy zbankrutowali, paryscy trzymają się dzięki subwencjom wypłacanym przez skarb państwa kolejom żelaznym, będącym w ich posiadaniu) i zażądał by ten podzielił się z nim majątkiem, jak tego wymaga sprawiedliwość.

— Dobrze, powiada bogacz, gładząc przepisowe faworyty, oto masz 5 franków!

— Jakto, tylko tyle?

— Tak jest. Gdybym podzielił mój majątek pomiędzy wszystkich mieszkańców kraju, to tyle wypadłoby na każdego. Żegnam i życzę powodzenia...

Z pouczającej anegdoty dla młodzieży sprawa ta zaczyna teraz stawać się tematem publicznych dyskusyj. Przed kilku dniami zajęło się nią serjo jedno z paryskich pism codziennych, chcąc przekonać czytelników, że na podziale dochodów przemysłu równo między wszystkich nikt by nic nie zyskał.

Oto rezultat obliczeń: z podziału aktywów wszystkich towarzystw akcyjnych wypadłoby na każdego Francuza po 1,000 franków; dywidendy tych towarzystw, podzielone równo, dałyby każdemu 75 franków dochodu rocznego; złoto Banku Francji przyniosłoby każdemu fortunę w kwocie 1,250 fr. Rezultat, jak widzimy, zupełnie mizerny i rewolucja socjalna nie opłaciłaby się zupełnie.

Można jednak wątpić, czy takie obliczenie przekona wielu. Przecież nie chodzi o uspołecznienie tylko wielkiego przemysłu, ale wszelkiej własności i zrównanie płac, bo według Marxa każdy ma pracować według możności, a pobierać wynagrodzenie według potrzeb. Wprawdzie bolszewicy w Rosji po krótkiej próbie porzucili i wyszydzili nawet zasadę tej *„urawniłowki”*, ale tem nie mniej w agitacji w krajach o ustroju burżuazyjnym posługują się nią dalej.

Zwolennik tedy rewolucji będzie dzielił nie tylko dochody towarzystw akcyjnych, ale również dochody rolników, kamieniczników, drobnych przemysłowców i kupców, płace urzędników i tę część budżetu państwa, a jest ona nie mała, we Francji wynosi prawie połowę wydatków, która idzie na obsługę pożyczek, na wypłacanie rentjerom. Słowem cały dochód społeczny. A wtedy cyfry przemówią inaczej.

Dochód społeczny we Francji podzielony na głowę ludności (r. 1928) da 2120 zł., czyli na rodzinę, złożoną z 5 osób, 10.600 zł., prawie 30.000 franków. W innych państwach na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych dochód taki jest jeszcze znacznie wyższy. Masy są tego świadome i to tłumaczy dostatecznie rewolucyjne nastroje, domaganie się lepszego podziału dochodu społecznego, znajdujące się nawet w enuncjacjach urzędowych głowy państwa, prezydenta Roosevelta.

Oczywiście komunistyczny sposób sprowadzenia raju na ziemi jest nic nie wart. Daje na to dowody sama polityka bolszewików w Rosji, którzy w celu utrzymania jakiej takiej wydajności pracy zmuszeni zostali stopniowo nie tylko wprowadzić akordowy system płac i nadać różne przywileje „szturmowcom”, czy „stachanowcom”, lecz porobić nawet ustępstwa w samej zasadzie zniesienia prywatnej własności i tolerować wiele jej przejawów. Inaczej dochód społeczny spadłby jeszcze katastrofalniej. A nie wspominamy nawet o niewolniczym ustroju, jakiego wymaga komunistyczna gospodarka.

Z drugiej jednak strony z cyfr tych wynika, że w przodujących krajach naszej cywilizacji bieda, już nie mówiąc o nędzy szerszych warstw ludności nie jest bynajmniej nieuchronną koniecznością, że stan wytwarzania dóbr wszelakiego rodzaju pozwala na jej usunięcie i zapewnienie każdemu zaspokojenia potrzeb. Przekonanie to toruje sobie coraz łatwiej drogę; niewątpliwie znajdą się sposoby na urzeczywistnienie tego zadania bez niszczenia dotychczasowego dorobku kultury. Zasadę wskazuje Kościół, głosząc iż dochody, zbywające po należytem zaspokojeniu potrzeb człowieka i jego rodziny odpowiednio do stanowiska, jakie zajmuje, nie powinny być traktowane jako własność prywatna, lecz skierowywane ku polepszeniu bytu uboższych.

A jak się przedstawia podobne obliczenie u nas? No, bardzo mizerne. Jesteśmy pod względem wysokości dochodu społecznego, jak wiadomo, na samym końcu narodów cywilizowanych. Mały „Rocznik Statystyczny” na r. 1936, który co tylko opuścił prasę, podaje nasz dochód w r. 1935 na 15 i pół miljarda złotych, co po przeliczeniu daje okrągło 500 zł. na głowę ludności rocznie. Bardzo to jest mało, a przecież trzeba brać pod uwagę, że dochód przeciętny wcale nie oznacza tego, że największa warstwa ludności posiada go w takiej właśnie wysokości. Przeciwnie, dochód wielkiej masy mieszkańców Polski jest jeszcze znacznie niższy. Najniższy dochód przeciętny (znów przeciętny, a więc w tej masie są dochody jeszcze niższe) mają rolnicy, właściciele i robotnicy rolni, mianowicie 240 zł. rocznie i taka przeciętna wysokość dochodu obejmuje przeszło 21 miljonów głów. Drugą z kolei kategorję stanowią robotnicy przemysłowi i mają dochodu 420 zł. na głowę, jest tych głów 5 i pół miljona (liczone są wszędzie wszystkie głowy t. zn. żony i dzieci też); nieco więcej, bo 540 zł. na głowę wypada u „drobnomieszczan”, a jest ich 3 i pół miljona głów; pracownicy umysłowi mają 1320 zł. na głowę (miljon 360 tys. głów) i wreszcie najwyższa kategorja, zawody wolne i żyjący z zysku 2400 zł. na głowę (600.000 głów).

U nas podział dałby 500 zł., polepszył by więc nieznacznie dochód robotników przemysłowych i znacznie rolników (o ile pozostałby na tej samej wysokości po podziale, co jest wykluczone) ale zostawił by te kategorje razem ze wszystkiemi innemi na granicy biedy. Dzielić nie mamy co, trzeba myśleć o podniesieniu dochodu przedewszystkiem i to oczywiście najpierw w tych najgorszych kategorjach.

A co osiągnęła by reforma rolna? Podwyższyła by przeciętną dochodu rolników bardzo nieznacznie, może o 20% do 288 zł. rocznie. Rezultat nikły i wskazujący na to iż potrzebne są jeszcze inne zabiegi. ARGUS

NA MARGINESIE

„...obrzucił nas stekiem oszczerstw i delatorskich insynuacyj. Oszczerstwa te śmieszne i bezsilne... Zdemaskowaliśmy obłudę... Wykrętne tłumaczenia, oszczerstwa i wyzwiska, miotane pod naszym adresem nic nie pomogą...”

Komuż to tak wygraża warszawski syjonistyczny „Nasz Przegląd”, kogoż tak atakuje i tak piętnuje? Kto jest tym wrogiem tak nieprzebierającym w środkach, tak zwalczającym „naczelny organ narodowego żydostwa polskiego”! Oto ni mniej, ni więcej, tylko... (słuchajcie!) główny organ syjonistów krakowskich, „Nowy dziennik”!

Jak tam antysemityzm się szerzy!

*

Tenże „Nasz przegląd“ ogłasza pod dwuszpaltowym tytułem: „Deklaracja delegacji polskiej na światowy Kongres Żydowski“.

A więc już nawet na Światowy Kongres Żydowski zdołali wedrzeć się Polacy! I nawet najbezczelniej odczytują na nim jakieś swoje polskie deklaracje! Zatem już nawet w sali obrad kongresowych wypierają żydów z należnego im stanowiska gospodarzy! Toż to okropniejsze niż Przytyk!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.